

AUG 11 1921

1. 28. '31

FEB 21 '84

~~F 338~~

184

184



F 184

184

BIAŁA GOŁĄBKA.





30.

Józefat Nowiński.

F 184

BIAŁA GOŁĄBKA

✓
Poemat dramatyczny w 5 aktach.



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

Доволено Цензурою,
Варшава, 30 Марта 1899 г.

W hołdzie szacunku najwyższego

Pani Maryi Filipowiczowej

na pamiątkę ofiaruje

AUTOR.

OSOBY DZIAŁAJĄCE.

KSIĄŻĘ MOLENY.

BIANCA — jego córka.

LUCIA
SILVIA } jej towarzyszki.

MARGRABINA MALFI — ochmistrzyni jej dworu.

LAPI — doradca i przyjaciel księcia.

KSIĄŻĘ następca tronu Ferraty.

CARLO CARRARO
GUIDO DI MASSA } panowie z Moleny.

LODOVICO LESCHI

CASTINIANI

SZLACHCIC 1-y, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 } Szlachta

LENARO } Moleny.

BARTOLOMEO SERA — malarz nadworny księcia
Moleny.

MATTEA ROSELLI — kopista nadworny.

CELLI — budowniczy.

DOWMUNT — rycerz litewski.

PERETO — magnat neapolitański.

HERMAN VON HOCHBERG — rycerz niemiecki.

SOTO — stary sługa Carrarów.

KOMENDANCI zamku i miasta.

NIEMIEC

FLAMAND } szlachta cudzoziemska.

HISZPAN

BAPTISTA }
VALENTINO } służy zamkowi.

FRANÇOIS }
BACHIO } służy Carrara.

PACHOŁKOWIE w winiarni.

WIEŚNIAK.

SŁUGA Pereta.

Rzecz dzieje się w Italii w epoce Odrodzenia.

A K T I.

Scena I.

Altana w ogrodzie po lewej stronie sceny.

BIANCA, SILVIA i LUCIA.

LUCIA (wchodząc).

Ależ to puszcza prawdziwa. Drożyna zapuszczona, altana zaniedbana! Możnaby pomyśleć, że tu nikt nigdy nie zagląda. Zkąd łaska twoja dla tego kąta? Tak daleko od pałacu.

BIANCA.

Nigdzie tyle cienia, chłodu i ciszy.

LUCIA.

Ach, księżniczko moja! Toć dla ciebie właśnie stworzono blask, żar i gwar. Mamże i ja milczeć, jak grób?

SILVIA (nie podnosząc głowy od robótki)

Jej wysokość ogromnie lubi ciszę.

BIANCA (do Lucii).

Szczebiocz, szczebiocz, szczebiotko! Stęskniłam się już do twojej paplaniny. Nie masz pojęcia, jak czekałam twego powrotu.

LUCIA.

Niby też to! Zabawa po zabawie: gdzież było raz chociażby wspomnieć?

BIANCA.

Wspominałam cię często, bardzo często.

LUCIA.

O Madona!

BIANCA (wstaje, kładąc robótkę, i powoli wychodzi z altany na prawo; Lucia jej towarzyszy; Silvia przeprowadza je oczyma).

BIANCA (cicho).

Przekonałam się: każde słówko moje, przekrecone najczęściej, powtarza całe miasto, a przecie nie takiego mądrego nie mówię. Ty przylajmniej robisz plotki o sobie tylko samej. (Idąc z powrotem) Brak mi ciebie było. Brak mi było twego humoru. Nie miałam do kogo zagadać (Przy wejściu do altany) Tak nudno czasem, tak smutno.

LUCIA.

Komu to się skarżyć? Na zamku się roi młodzież najświetniejsza, drży on od tańców i wiwatów.

BIANCA.

Takam sama wśród tego tłumu.

SILVIA.

Królowie, jak bogowie, są sami w górze, bo śmiertelnicy—u ich stóp.

BIANCA.

Jakże żałuję, że mnie los na tę górę lodową rzucił. (Wchodzi znów do altany i bierze robótkę) Hołdy etykiety są jak słońce zimowe, co błyszczy a nie

grzeie. Wciąż mi się zdaje, że wszystkimi względem mnie kieruje rozsądek i próżność, i tęskno mi do serca.

SILVIA.

O! Wszystkie serca biją tylko dla waszej wysokości.

LUCIA.

Silvia ma słuszość: któżby śmiał ciebie nie kochać? Nie trzeba kręcić główką. Ale—mowa o kochaniu. Na wsi dognąła mnie wieść o bliskich zaręczynach... Czegóż się zachasz? Masz szczęście. Książę Alfons—chłopiec, jak malowanie.

SILVIA (z naciskiem).

Jego wysokość książę następca tronu Ferraty—wspaniałomyślny to i mądry pan.

LUCIA (do Bianki).

Słyszysz? Ale wszystkie dziewczęta boją się z początku małżeństwa czy męża, a księżniczki—snać też są dziewczętami.

SILVIA.

W naszej rodzinie nabożnie przechowuje się wiara, że osoby takiego rodu są istotami wyższymi.

LUCIA.

Widzisz? Nawet Silvia mniema, żeś powinna być wyższą ponad strach małżeństwa. Ach, pani moja śliczna! Niech wasza wysokość nie patrzy tak smutnie. Nikt przecie gwałtem waszej wysokości do ołtarza nie powlecze.

BIANCA.

Choć ty daj pokój tytułom. Tak mi już wszystko zbrzydło.

LUCIA.

To nudno, to smutno, to zbrzydło! I tak mówię o najpiękniejszej młodzieży świata.

SILVIA.

Jej wysokości nie mogą obchodzić byle jacy młodzi ludzie.

LUCIA.

Nie tak, jak nas z tobą, Silvio?

BIANCA

Wciąż jedno i to samo. Zgóry wiem zawsze, kto jak mi się skłoni, jak spojrzy, jak przemówi. Mniejsi—to niewolnicy, gotowi na skinienie moje leczyć ból zębów krokodyla. Większych—olśniewam, nawet palę. Śmiały miele językiem i pożera wzrokiem, bojaźliwy wzdycha i rumieni się, a wszyscy kłamią.

LUCIA.

Co to—to nie! Chciałabym widzieć człowieka, któryby cię zobaczył i nie zakochał się na zabój.

SILVIA.

Całemu światu wiadomo, że piękniejszej od waszej wysokości niema na ziemi, i jego wysokość książę następca...

BIANCA.

Ach, Silvio kochał! Patrz, złamałam igłę.

SILVIA.

Natychmiast, wasza wysokość. (Kłania się ceremonialnie i wychodzi).

LUCIA.

Na twojem miejscu byłabym wyrozumialsza. Ja tam swoich wielbicieli wolę nie wywracać podszewką do wierzchu.

BIANCA.

Pokazują mi ją sami.

LUCIA.

Przedewszystkiem zaś—radzę ci się zakochać.

BIANCA.

Iście przednia rada!

LUCIA.

Czegóżes się przelęła? Wierzysz może bredniom o mękach i grzechach miłości? Wszystko to wymysły babek i mnichów, naprawdę zaś niema milszego zabicia czasu, niż kochanie. Nie dostrzegasz naprzykład we mnie zmiany?

BIANCA.

Zrobiłaś się jakgdyby jeszcze bardziej gadatliwa i pusta.

LUCIA.

Cóż znów!... Zresztą to tak z nadmiaru życia:
jestem zakochana.

BIANCA.

I któż jest tym szczęśliwym?

LUCIA.

Najwspanialszy osobnik rodzaju męskiego na
ziemi, zakochany we mnie przytem, jak kot.

BIANCA.

Czy myszy z miłości łowi, czy może zamiast
pod—nad balkonem piszczy?

LUCIA.

A co za wąsy! co za zęby!

BIANCA.

Koniowi jego też może nie brak żadnego.

LUCIA.

Jednem słowem dzielny rycerz — od świętego
pióra na kapeluszu do ostróg dziedzicznych.

BIANCA.

Ostrogami dziedzicznymi pochwali się byle kogut, choć pióra nosi nie na kapeluszu.

LUCIA.

Zato kochanek mój przewyższa gęstością czupryny niejednego króla.

SILVIA (wchodząc i z ukłonem ceremonialnym podając igłę).

Jej miłość, margrabina Malfi, ciotka moja, przeprasza waszą wysokość za opóźnienie się swoje.

BIANCA.

Nie gniewam się wcale. Pewno ją ktoś odwiedził.

SILVIA.

Tak jest, wasza wysokość. Jej miłość, druga ciotka moja, hrabina Neri, przybyła do Moleny. (Siada).

LUCIA.

Zmartwiłaś mnie, Bianco!

BIANCA.

Sądząc z miny twojej—niebardzo.

LUCIA.

Niby też to zawsze tylko plotę od rzeczy Myślisz, że nie potrafię się martwić? Nie dalej, niż zeszłej nocy, tak mi się smutno zrobiło: ażem płakała.

BIANCA.

Śniło ci się tylko zapewne, żeś płakała?

LUCIA.

Ależ nie.

BIANCA.

Cóż ci więc było?

LUCIA.

Alboż ja wiem? Serce mi się ścisnęło. Nie spałam całą noc.

BIANCA.

Znaczy, żeś się z kwadrans kręciła w łóżku,

przed snem, marząc (do ucha, półszepcem) o piórach i ostrogach.

LUCIA.

Żartujesz sobie ze mnie, a przecie naprawdę czasem niby się nic nie myśli, a tak się jakoś ciężko zrobi na duszy...

BIANCA.

Zadużoś może zjadła na kolację?

SILVIA.

Doktór Sosio odradza zwykle jego wysokości zbyt obfity pokarm na noc.

BIANCA.

Widzisz, Silvia się ze mną zgadza. Ale oto co znaczny mówić o smutku: już mi się nasuwa na duszę, jak chmura na księżyc. Zaśpiewaj mi co lepiej. Ręczę, żeś przywiozła zapas nowych piosnek.

LUCIA.

Ja? przy tobie? Za nic w świecie. To ty zaśpiewaj tę swoją piosnkę, tę ostatnią... Ale możesz tu

bezemnie tuzin cały nowych skomponowała. No, śpiewaj co chcesz, byle o miłości.

BIANCA.

O miłości?... Ach, nie, nie! Nie jestem usposobiona.

LUCIA.

Zwykła wymówka. Nigdy się bez oporu nie poddasz. Czy tak będzie zawsze, we wszystkim i ze wszystkimi?

BIANCA (wskazując oczyma Silwię).

Nie pleć, terkotko, nie pleć.

LUCIA.

Zaśpiewaj, Bianco! Zaśpiewaj, Bianco! zaśpiewaj, Bianco! Będę do nocy powtarzała, nie przestawiając wyrazów: zaśpiewaj...

SILVIA (przerywając).

Jeżeli jej wysokości nie podoba się śpiewać w tej chwili, to zdaje mi się...

BIANCA (do Lucii).

Dobrze już, dobrze. Ustępuję dziś dla twego przyjazdu.

LUCIA.

Ach, jakaś ty dobra. (Bianka chce śpiewać) Znów cię usłyszę. Jak ci te wszystkie piosnki przychodzą do głowy?

BIANCA.

Nie przeszkadzaj że mi! (Chce śpiewać).

LUCIA.

Ach, śpiewaj, śpiewaj! Bo, widzisz, po całych dniach czasem marzą mi się twoje piosnki... Milczę już, milczę, jak sama cisza. (Bianka znów chce śpiewać) Ani słóweczka więcej. Słucham już, słu... (zatyka sobie usta dłonią).

BIANCA.

Tak najlepiej. (śpiewa).

Ktoś mi szepce do ucha.

Co? Nie wiem. Tylko słyszę:

Szept—tajemniczy,

Jak miłość.

Ktoś mi szepce do ucha.

Kto? Nie wiem. Tylko czuję,

Że to ktoś—piękny,

Jak miłość.

Ktoś mi szepce do ucha.

Czy to kwiatom wiatr szepce

Słoweczka—dziwne,
Jak miłość?

Ktoś mi szeptem do ucha.
Czy to skrzydła szeleszczą
Mych marzeń—trwożnych,
Jak miłość?

SILVIA (zrywając się).

Wasza wysokość! Słyszałam Braniniego, którym zachwycają się królowie i dwory, ale wobec śpiewu cudnego waszej wysokości...

BIANCA (przerywając).

Silvio droga! Ty zawsze wszystko umiesz znaleźć: zapomniałam koszyczka z jedwabiami.

SILVIA.

Wasza wysokość zbyt wiele czyni mi zaszczytu. Natychmiast.

BIANCA.

Ach, przepraszam cię, Silvio! Jakażem niedomyślna. Tybyś też pewno chciała z ciotką swoją,

hrabiną Neri, pogawędzić. Przyślij mi więc jedwabie, a nie zapomnij powiedzieć hrabinie, że rada ją zobaczą... Za jakie pół godziny przyjdę. (Silvia kłania się ceremonialnie i wychodzi).

BIANCA (po chwili, do pogrążonej w zachwycie Lucii)

Słyszysz? Jakies glosy... i kroki.

LUCIA.

To chyba wiatr się zerwał i probuje piosnkę twoją powtórzyć. (Nasłuchuje) A może. Tak, tam w głębi... Pewno ogrodnicy, bo któżby tak wcześniej...

BIANCA.

Czy to nie ostróg brzęk? Uciekajmy.

LUCIA.

Prawda. Schowajmy się za altanę. Ktoby to mógł nadchodzić z tamtej strony? (Znikają w zaroślach za altaną).

Scena 2.

(Wchodzą: Carraro, Dowmunt, François)

CARRARO (u wejścia do altany).

Nikogo. Ztąd chyba leciał śpiew. Tu słyhać było głosy. (Wchodzą do altany)

FRANÇOIS.

Nawet robótki porzuciły, uciekając. Tam chusteczka leży: czy wziąć na pamiątkę?

CARRARO.

Oo za głos! co za melodya! Jakąż postać musi mieć istota, co tak czuje? Czemże byłaby jej miłość?

FRANÇOIS (próbując pochwycić melodyę).

„Jak miłość“!...

CARRARO (gniewnie tupie nogą).

A!... (Wychodzą, rozglądając się, potem Carraro wraca do altany i siada, opierając głowę na ręce).

FRANÇOIS (skrada się, żeby zajrzeć do altany, i wraca do Dowmunta).

Wasza cześć! A toć pan mój wcale się nie zabiera do odwrotu. Zapewne, przy takich rycerzach kije mi w cudzym nawet ogrodzie nie grożą, ale nim reszta służby nadjedzie, temu osłu Bachiowi konie tam uciekną.

DOWMUNT.

Powiedz o tem swemu panu.

FRANÇOIS (zagląda, jak poprzednio, do altany i wraca).

Ładniebym wyszedł. Taki zamyślony. A tam trzos przy mojem siodle: przeszło półtora tysiąca dukatów.

DOWMUNT.

Zdaje mi się, żeście w Rzymie trzy tysiące dostali?

FRANÇOIS.

Gdzie Rzym, wasza cześć, a gdzie Molena.

DOWMUNT.

Dwa tygodnie temu.

FRANÇOIS.

Ileż złota i wody może upłynąć przez tyle czasu.

DOWMUNT.

Obgubiliście się, czy was okradli?

FRANÇOIS.

Ani jedno, ani drugie. (Znów zagląda do altany)
A jego miłość siedzi — jak w domu.

DOWMUNT.

Przegrał więc w kości pan twój?

FRANÇOIS.

Nie sam przegrał, to przegrali za niego inni.

DOWMUNT.

Jakto? Czy ty grywasz za niego?

FRANÇOIS.

Jeszcze nie, ale za ledwośmy się z waszą cześcią rozstali — co to jeszcze wasza cześć Ojca świętego chciała zobaczyć — zapłaciliśmy w Viterbo pięćset dukatów za jakiegoś szlachcica, który więcej stawiał, niż miał — bodajby nań Madona ani razu nie spojrziała za życia.

DOWMUNT.

Trudno, za przyjaciela...

FRANÇOIS.

Alboż to był przyjaciel?

DOWMUNT.

... lub choć znajomego.

FRANÇOIS.

Pan mój pierwszy raz go wtedy widział.

DOWMUNT.

Musiało tam coś być.

FRANÇOIS.

I było. Tak mi żal było tych dukatów, żem nie wytrzymał... a jego miłość jak nie krzyknie: „chcesz, ośle, żeby się szlachcic porządny obwiesił dlatego, że mu kości nie dopisały?“ Nie śmiałem nawet powiedzieć, że on taki porządny, jak ja osioł.

DOWMUNT.

Hm!

FRANÇOIS.

Mało mamy wydatków? Tu w karczmie na wesele natrafimy, więc się narzeczoną wyposaża; tam żebrak ładną piosnkę zaśpiewa — ot jak i teraz na przykład. Gdzieindziej znów jakaś baba nie ma z czego podatku zapłacić. (Znowu zagłada). Oho, mój pan się przysłuchuje. Nawet wiatru niema.

DOWMUNT.

To naprawdę... Hm!

FRANÇOIS.

Alboż wasza cześć nie widziała sama? Żebyż

sakiewka tylko cierpiała, ale jego miłość za byle kogo lba też nadstawić gotów. Już to przyjaźń go za drogo kosztuje, i gdyby nie był pierwszym rycerzem świata...

DOWMUNT.

Czy nie do mnie czasem pijesz, pacholku?

FRANÇOIS.

Cóż znów! Czyżbym śmiał? Zapewne, waszej cześci pan mój też uratował życie, ale to całkiem co innego.

DOWMUNT.

Przecie mnie też nie znał.

FRANÇOIS.

O święty Franciszku z Asyżu! Jakże wasza cześć może się równać z byle kim? Powiedziałem wyraźnie, że jego miłość gotów się byle komu na szyję rzucić.

CARRARO (zbliżając się).

Co ty tam o mnie łzesz, François?

FRANÇOIS.

Łgę? Boda jby m zgłupiał, jak Bachio, jeżeli łgę. (Carraro, nie słuchając, odchodzi ku przeciwnej stronie sceny). Zresztą lepiej jest niekiedy rzucać się, niż rzucać. Łatwiej znaleźć dany pocałunek na ustach, niż wydanego dukata w sakiewce.

CARRARO (wracając).

Znikły, jak duchy. Ach, zobaczyć ją! Ileż tajemnych dziwów i cudów musi być w duszy, która tak śpiewa trwożne swe marzenia.

DOWMUNT.

Mało śpiewałeś sam tryumfów i smutków miłości chociażby przed laty, jako paź i śpiewak księżny...

CARRARO.

Choćbym miał zginąć, choćby mnie dyabli żywcem wziąć mieli!

DOWMUNT.

Tak się przejmować głupią piosnką, zasłyszaną zdala?

CARRARO.

Co? Dziki północne będą decydowały o pieśniach słonecznych? Otwieraj usta, kiedy masz powiedzieć: koń, broń lub cnota.

DOWMUNT.

No, no! Myślisz, że u nas pieśni nie śpiewają. I ty, szczęśliwce po tysiącu przygód po wszystkich krajach świata...

CARRARO.

Wyobrażasz sobie, że w tułactwie można znaleźć szczęście? Ty się włóczysz, dopóki cię to bawi, ale masz kąć własny, gdzie wolno ci dać duszy znużonej wypoczynek wśród swoich, gdzie w kalectwie nawet lub obłudzie znajdziesz ratunek i litość. Ale być, jak żóraw znużony nad oceanem, nie mając nigdzie gniazda na całej tej wielkiej ziemi... Wszyscy obcy, wszystko obce..

DOWMUNT.

Komu to mówić! Gdzie się zjawisz, wszyscy wnet na wypródkę...

CARRARO (z gestem niecierpliwym).

Ech! Ci ze strachu, tym robotnik potrzebny do żniwa krwawego.

DOWMUNT.

Zapewne, niema nad dom rodzinny.

CARRARO.

Dom rodzinny! dom rodzinny! Tyś szczęśliwy a ja?... Z Hiszpanii do Francyi, z Francyi do Germanii, i z powrotem, i w kółko, a tęsknota rośnie i rośnie...

DOWMUNT.

Zato sława...

CARRARO.

Oddałbym całą sławę, byleby choć ujrzeć tę co śpiewała przed chwilą. Dorzuciłbym jeszcze wszystko, co miałem, mam i mieć będę. (Odchodzi).

FRANÇOIS.

I nie znaczyłoby to przepłacić, gdyby tylko jego

miłość zatrzymał na wszelki wypadek tę resztę złota — bo cóżby rozdawał? — i konie — bo cóżbyśmy siedli? Przyszłe ziemie teżby się przydały przyjaciom. To zaś, co jego miłość miała — może wasza cześć wie gdzie? — oddałbym i ja za byle co, skoro dziś tego mieć nie można.

CARRARO (wraca).

Na nieszczęsmy tu przyjechali.

DOWMUNT.

Konie gotowe: tylko zawrócić.

CARRARO.

Byłoby to najrozsądniejsze. Chodźmy! (zwracając się ku altanie). Bywajże mi zdrowa, słodka śpiwaczko. Daj mi Boże cię ujrzeć. A może lepiej byłoby inaczej się modlić: Boże, nie daj mi jej zobaczyć? Może to sama... Park książęcy! Ale nie! W takim ustroniu.

FRANÇOIS (uderzając rękami po kolanach).

Park książęcy!

CARRARO.

Tak rano! Pewno dworskie...

FRANÇOIS (przysiadając i składając ręce).

Wasza miłość!... Park książęcy! Wasza cześć.
Święty Franciszku, ratuj. Wasza miłość, uciekajmy!
Park książęcy!...

CARRARO (surowo).

Milcz, głupcze i wynoś się! Czegoś się włókł za
nami? (François ucieka).

DOWMUNT (po pauzie)

Nie mamy tu co robić.

CARRARO (machnąwszy ręką)

Prawda. Chodźmy. (Odchodzi).

Scena 3.

LUCIA (wychodząc z Bianką zza altany)

Poszli gotować się do drogi: szczęśliwej podróży! Co to? Żal ci ich może? którego? Pewno tego niedźwiedzia jasnowłosego, co się tak poznał na twoim talencie. A może cię oczarował głos giermka? Ręczę, że rycerz jego ma nie gorszy. (Po chwili) Myślisz, że oni naprawdę wyjadą? Niech mi wtedy urośnie broda dwa razy dłuższa, niż u najstarszego dziada w Italii. Uważasz? Zaklinam się, jak ten giermek. Stawię głowę przeciw makówce, że zostaną.

BIANCA.

Cóż to nas może obchodzić? Nie znamy ich.

LUCIA.

Zapewne. Musisz jednak przyznać, że przystojny to pan.

BIANCA (przymuszając się do wesołości)

Nos ma między oczyma, a uszy z boków. A zębom czyś się przyjrzała?

LUCIA.

Żartuj zdrowa. A co za sługa! Dałabym złamany szeląg, żeby mieć takiego sługę, jak pan tego osła. Co za oko!

BIANCA.

Dwoje.

LUCIA.

Aż tyle naliczyłeś? To dobrze, bo widząc twoje wzruszenie, zaczynałam się bać.

BIANCA.

Czego?

LUCIA.

Bądź co bądź, trudno o postawę wspanialszą twarz piękniejszą, a takie śpiewające i marzące

o miłości dziewczęta... Bez Silvii wolno tak powiedzieć, co?

BIANCA.

Co?

LUCIA.

Czy należy się bać, widząc, jak płomień zbliża się do prochu?... Ależ ty wcale nie słuchasz. Bianco! Bianco! Czy wierzysz w miłość od pierwszego spojrzenia? Bo mnie łatwiej byłoby uwierzyć w miłość tylko do drugiego spojrzenia, niż zwątpić o tem. Bianco!

BIANCA (budząc się z zadumy)

Co?

LUCIA.

Pytam już pół godziny: czy wierzysz w miłość od pierwszego spojrzenia?

BIANCA.

Od pierwszego spojrzenia? Nie myślałam o tem.

LUCIA.

To pomyśl, Bianco, póki czas.

BIANCA.

Zaczekaj, zaraz... Myślę, że przy świetle błyskawicy można odczuć urok krajobrazu, któryby cię nie oczarował przez długą noc. Tak i dusza ludzka. Czasem — tak myślę — rozwiera się na mgnienie, jak czeluście morza, ukazując otchłań szlachetności i tęsknoty.

LUCIA.

Jak to powiedziane!

BIANCA.

Czyż nie logicznie?

LUCIA.

Aż do zbytku. Ta właśnie logika mnie przeraża

BIANCA.

Przeraża cię logika?

LUCIA.

Przedewszystkiem nie do twarzy ona młodej i pięknej księżniczce, powtóre — droga to do największych głupstw.

BIANCA.

Co za wliosek!

LUCIA.

Wzorowy. Wielebym dała, żeby się tak zjawili byli w porę ogrodnicy. Dopieroż byłby popłoch!

BIANCA.

Tak myślisz?

LUCIA.

Ty zaś masz tych gości nieproszonych za istoty bezstraszne, nie wyłączając sługi.

BIANCA.

W każdym razie to, cośmy słyszały o tym najwyższym...

LUCIA.

...i najpiękniejszym.

BIANCA (z uśmiechem wymuszonym)

Zresztą samo wejście do tego ogrodu dla takiej...
błahostki...

LUCIA.

Dobrze, dobrze, sofistolo! Notujemy więc wszystko, dostrzeżone w otchłani przy świetle błyskawicy: szlachetność, postawa, tęsknota, piękność, mądrość — oczywiście sługi — dwoje oczu, odwaga... I co tam jeszcze? Gotowaś może uwierzyć też w sławę tego rycerza, która pewno nie ustępuje posiadłościom jego. A zauważyłaś, jakie miał buty?

BIANCA.

Nie patrzyłam na nogi.

LUCIA.

Ani braku guzika u kaftana nie dostrzegłaś?

BIANCA.

Nie patrzyłam na kaftan.

LUCIA.

Ani na kapelusz? Tylko w otchłań. Niechże cię Madona ma w swej pieczy, piękna księżniczko.

BIANCA.

Amen.

LUCIA.

Ręczę, że zobaczymy twego bohatera na przyszłym balu że bowiem namyśliwszy się, zapomni tu drogi, nie ulega...

Scena 4.

CARRARO (wchodzi).

LUCIA.

Ach!

BIANCA (zrywa się i staje ze spuszczonei oczyma oparta ręką o stół).

CARRARO.

Przepraszam kornie, jeżeli przestraszył was, panie. Jestem biednym, aczkolwiek znakomitego rodu cudzoziemcem.

LUCIA.

Jakżeście się tu dostali, biedny, aczkolwiek znakomitego rodu cudzoziemcze?

CARRARO.

Zdaje mi się przez mur.

LUCIA

A jak się wam zdaje, znakomity, aczkolwiek biedny cudzoziemcze, czego tu szukacie?

CARRARO.

Wjeżdżając do miasta, usłyszałem śpiew, i pociągnął mnie, jako ómę płomień. Jeślim skrzydła

opalił, proszę śpiewaczkę o cztery słowa w pacierzu porannym.

LUCIA.

O jakie słowa?

CARRARO.

Boże, bądź mu miłościw.

LUCIA.

A czemu w porannym?

CARRARO.

Gdyby mię śpiewaczka pod noc wspomniała, nie zasnąłbym pewno.

LUCIA.

Skromność wasza przejmuję nas podziwem. Nie wątpimy, że domyślność jej nie ustępuje: któraż z nas śpiewała?

CARRARO.

Ta, której mowy nie słyszę.

LUCIA.

Wybornie. Gdybyśmy miały więcej czasu, poprosiłabym cię, Pityo przedziwna, o powrót, czy wyjdę za mąż tego roku.

CARRARO.

Tak, jeżeli mąż się trafi.

LUCIA.

Wybornie. A czy wiadomo ci, Pityo czarująca, że spacery tu żrą gościom nieproszonym rozmaitemi drobnymi przykrościami, w rodzaju więzienia lub stryczka. Do ogrodów zamkowych émom cudzoziemskim ani krajowym zalatać niewolno. Radzę więc waszej biednej znakomitości wynosić się ztąd, póki to można uczynić zdrowo i cało.

CARRARO.

Boję się tylko Boga i bólu tych, kogo kocham. Żegnam was, panie, i błagam o przebaczenie.

LUCIA.

Idźcie, panie, gońcie przebaczenie: pobiegło ono przodem do waszego mieszkania.

CARRARO (kłaniając się)

Żegnam (wychodzi).

LUCIA.

Żegnamy, żegnamy. (do Bianki) Ach, żeby też margrabina lub Silvia były w porę nadeszły, lub choć przysłały owe...

BIANCA i LUCIA (podnoszą głowy, wsłuchując się z natężeniem).

CARRARO (śpiewa za sceną)

Serce — jak czara pełna!
Do mych uszu doleciał
Śpiew dziwny, słodki —
Jak miłość.

LUCIA (klasnąwszy w dłonie)

Ależ to waryat prawdziwy! Śpiewać tu!

CARRARO (jak przedtem).

Serce — jak czara pełna!...
Wzrok mój spotkał spojrzenie

Trwożne a cudne —

Jak miłość.

LUCIA (po chwili milczenia)

Bianko! ten szalenięć śpiewa nie gorzej od ciebie.

BIANCA (jeszcze się wsłuchując w zamarłe dźwięki)

Chodźmy! (Zatrzymując się nagle po paru krokach)

Lucio!

LUCIA.

Czego chcesz, księżniczko?

BIANCA.

Nie mów o tem nikomu.

LUCIA.

O czem, Bianco?

BIANCA.

O [tych... cudzoziemcach. Proszę cię... bardzo. Bo, widzisz, ojciec się dowie: znajdą ich. Może... stać się nieszczęście. Dobrze? Jeżeli mnie kochasz.

LUCIA.

Zakłęłaś mnie w rybę. Ale co cię oni obchodzą?
Co za głos! Wiesz, Bianco, co mam do powiedzenia
twojej wysokości? Jesteś zakochana!

BIANCA.

Oszalałaś, moja droga? (odchodzą).

(Zastona).

Scena 5.

Izba zajazdu.

CARRARO i DOWMUNT.

CARRARO.

A więc, najmędrszy z polskich rycerzy, zamie-
rzasz przyjąć wraz ze mną służbę u księcia Moleny?

DOWMUNT.

Uhm! (Znak głową potwierdzający)

CARRARO.

I masz postanowienie młócenia przy sposobności
Sarmeńczyków?

DOWMUNT.

Nie wszystkoż mi jedno kogo?

CARRARO.

A co zrobisz, jeżeli ja opuszczę Molenę, jak tylko
wojna się rozpocznie, i przejdę na stronę Sarmy.

DOWMUNT.

Hm!

CARRARO.

Nie mruż, jak niedźwiedź z tych tam twoich
puszcz, ale gadaj po ludzku.

DOWMUNT.

Byłoby to źle.

CARRARO.

Nie pytam, jakby to było, tylko cobys wtedy zrobil?

DOWMUNT.

Nie przystoi rycerzowi zdrada.

CARRARO.

Mów-że z takim ptakiem wyuczonym. Więc nie poszedłbyś za mną do Sarmy?

DOWMUNT.

Wolałbym tam iść odrazu.

CARRARO.

Czy ty rozumiesz, człowieku, co to jest fortel wojenny?

DOWMUNT.

Hm!

CARRARO.

A gdybym ci powiedział, że książę Moleny obraził mnie, skrzywdził, zrabował, że wrogiem mi on najstraszliwszym?

DOWMUNT.

Pocóż więc mamy z takim rakarzem się zadawać?

CARRARO.

Z koniem twoim łatwiejby się rozmówił, niż z jego panem. To mi dopiero domyślność. Właśnie jako przyszły wódz Sarmeńczyków dowiedzieć się chcę wszystkiego: jakie siły, jaki duch panuje na zamku i w mieście, jakie plany i nadzieje?

DOWMUNT.

Dziwnie tu u was. U nas szpieg jest szpiegiem a hetman hetmanem.

CARRARO.

Mądry będzie, kto tobie coś wytłomaczy. Bądź więc laskaw żadnych tu obowiązków nie przyjmować.

Jesteś niby przejazdem, w drodze do domu. Rozumiesz?

DOWMUNT.

Uhm! (znak głową)

CARRARO.

Czy pamiętasz bajeczkę o tym młodym magnacie, który zjechawszy się u bramy zamkowej z synem swego księcia, nieznanym sobie jeszcze..

DOWMUNT.

Zabił go, broniąc poszczonego żebraka. Carlo Carraro!.. Opowiadałem to już nieraz innym.

CARRARO.

Dlatego też proszę: zapomnij o tem w Molenie. (Półszepem, z naciskiem) Ze mnie taki Francuz, jak i z ciebie, a imienia mego tu się nie wymawia.

DOWMUNT.

Więc ty jesteś tym?.. Słuchaj, szalony, jeżeli cię poznają.

CARRARO.

Dwanaście lat miałem, kiedy niesnaski z księciem Moleny zmusiły ojca mego do przeniesienia się do dóbr matki do Hiszpanii. Od tego czasu bawiłem w Molenie zaledwo parę godzin, kiedym przyjechał przed siedmiu laty dla objęcia dziedzictwa.

DOWMUNT.

I wtedy właśnie?.. Więc o ciebie ta wojna?

CARRARO.

I wtedy właśnie... O mnie ta wojna. Za kilka tygodni będę władcą tego pięknego kraju.

DOWMUNT.

I oddasz za to księciu Sarmy hrabstwo Leggio? Gdyby kto za jedną piędź ziemicy naszej...

CARRARO.

Dziś się daje, jutro odbiera. Bez tego nie pomógłby mi. A duże księstwo warte jest małego hrabstwa. Pewien magnat tutejszy, Di Massa, naj-

straszniejszy wróg księcia, zapewnia, że tu wszystkie stany są za mną.

DOWMUNT.

Więc iść prosto na zamek...

CARRARO.

Ale dodaje, że dwa gwoździe lepiej trzymają, niż jeden. Zresztą gdyby ci hrabiowie Di Massa nie byli też w niezgodzie z całą prawie arystokracją.

DOWMUNT.

Wolałbym zginąć...

CARRARO.

Zginąć i nie pomścić się? Czy ty rozumiesz, że on zburzył mój zamek, wymordował sługi, nawet mego wychowawcę, który mnie tak kochał...

DOWMUNT.

Czy ta dziewczica, którą widziałeś w ogrodzie książęcym, nie jest właśnie siostrą tego zamordowanego przez ciebie?..

CARRARO (żachnąwszy się).

Oszalałeś! Ubrana była, jak biedna szlachcianka. Jeżeli z nich która była księżniczką, to prędzej ta, co mnie wygnała—śmiała i strojna. Ta moja—to, majestat tylko wdzięku i skromności. Zresztą bywały przykłady, że nawet zabójcy ojców zaślubiali córki ich, żeby mocniej siedzieć na tronie. Jeden z królów rzymskich... Albo Cyd...

DOWMUNT.

To były czasy pogańskie...

CARRARO.

Niby Cyd?...

DOWMUNT.

Takaby potem zabójcę męża gotowa była zaślubić. Zresztą byłoby to źle.

CARRARO.

Mówiłem ci nieraz: szpaka można jednego wyrazu nauczyć. Zresztą jest chyba panną dworską

i to nieobeznaną jeszcze ze dworem. Nieśmiała...
smutna... cicha... Nie, nie!

(*Za łmą*).

Scena 6.

Taż sama altana. BIANCA, CARRARO (wchodzi).

BIANCA (zrywając się i rzucając ku wyjściu).

Achl

CARRARO (przyklęka i wyciągniętymi błagalnie ramionami zagraджа przejście).

BIANCA (cofa się i po chwili drżącym głosem)

Co was przywiodło?

CARRARO.

Jedna piosnka i jedno spojrzenie.

BIANCA (znowu po chwili).

Kto jesteście?

CARRARO.

Szaleniec, który kocha.

BIANCA (po nowej pauzie).

Czego chcecie?

CARRARO.

Miłości.

BIANCA (szybko).

Puście mnie.

CARRARO (Żartobliwie, chwilami deklamacyjnie, chwilami z uczuciem szczerem).

O pani moja. Wróg ci drogę zawala? Ugodź go słowem wzgardy lub gniewnym wzrokiem, a przejdziesz swobodnie po trupie zdrajcy. Ta ręka przyjacielska wbije wnet sztylet (opiera dłoń na główni) do śmiertelnej już i bez tego rany.

BIANCA.

Wiecież, co wam tu grozi?

CARRARO.

Na cóżby mi się przydało, choćbym się nawet umiał bać sług czy żołnierzy? Gdyby tu za każdym krzakiem stała sama śmierć z kosą, musiałbym krążyć, jak dotąd, dokoła tej altany, do której mi się wcisnęła cała ziemia i całe niebo: jak żyć bez nich? O pani! po sprawiedliwość i miłosierdzie przychodzę. Wielka krzywda mi się stała. Miałem nadzieje świetlane—w ołów mi się obróciły: miałem zamiary ze stali najhartowniejszej—gną mi się dziś, jak źdźbło trawy, lub kruszą, jak próchno; miałem serce o skrzydłach orlich, któreby się smoków nie ulękło, a teraz tłucze mi się w piersi ptaszę kwilące a rwące się trwożnie do słodyczy ust twych dziewczycich. I któż się uzali?

BIANCA (szepcem)

Boże! Boże!

CARRARO.

Bożej mocy przeciw natrętowi wzywacie? Ufaj-

cie własnej: dość ruchu niecierpliwości. Myślicie: zbój straszny, a ja miuą nadrabiam, patrząc w oblicze wasze, jak pies pokorny. Bo też nie o błahostkę, w rodzaju bitwy lub uczty, chodzi. Ale cóż pocznę? Powtarzałem sobie: obruszy się, nie pozna,—i oto trzecią już noc czyham, jak wilk, w tych zaroślach, gdzie mnie południe zastaje.

BIANCA.

Nie znacie mnie nawet.

CARRARO (podnosząc się)

Ja was nie znam? Kogóżbym znał? Słodka twarz matki nigdy nie była wyraźniej wryta w sercu mojem, niż wasza. Głos ojca nigdy mi tak nie brzmiał w duszy, jak wasz. Cóż znaczy obszar czasu, który może być nikły, jak dym, lub zbity, jak marmur. Któż obliczy, ile się go zmieściło w ciasną formę kilku dni, przez które nie rozstawałem się z wami ani na chwilę. Hałas nieznośny słów ludzkich przygłuszał mi tylko słowa wasze niesłyszane. Głosy przyrody wtórowały tylko brzmiącej w duszy melodyi. Szedłem — zbliżaliście się, aby, znikłszy nagle, znowu się zbliżać. By-

łem sam — marzyłem o was. Zamykałem oczy — widziałem was. Usypiałem — śniłem o was. Któżby was znał, jeśli ja nie znam? Któż skwapliwiej odda życie wam czy za was? Kto spokojniej i radośniej złoży u stóp waszych nietylko losy, lecz i cześć swoją rycerską? Każcie mi zaprzysiądz na prochy ojców prawdę każdego słowa waszego, a zaprzysięgnę w dodatku, że oczy wszystkich piękności, jakie widziałem, zdają mi się teraz oczami krów i małp. I chyląc przed wami serce niżej, niż inni głowy przed Sakramentem Przenajświętszym, miałbym was nie znać?

BIANCA.

Pozwólcie mi odejść, panie.

CARRARO.

Śmiałżebym uczynić, jakgdybym uznawał za możliwe, by istota nadziemska zniżała się do prósb przed niewolnikiem swoim? Mnie to raczej czołgać się przed tobą, o pani, z błaganiem. (Ze wzrastającą namiętnością). I błagam, błagam!... Błagam, pozwól mi zostać u nóg twoich, pozwól choć zrzadka podnieść ku oczom twoim wzrok nieśmiały. Pozwól

całować tę ziemię, podnózek twój, marzyć pod niebem tym, baldachimem twoim, oddychać tem powietrzem: może kiedy zamieszka w mej piersi cząstka twego tchnienia. Pozwól się modlić do ciebie, śpiewać o tobie, tęsknić, płakać, i wołać, i umrzeć. Pozwól kochać! (Dolatuje zbliżający się śpiew Lucii).

BIANCA.

Uchodźcie, panie, uchodźcie, na miłość Boską.
Zastaną was.

CARRARO.

Niech mnie zabiją! Kocham, kocham i kocham.
Kocham tak, że gdybym od wschodu do zachodu tyśiącem przysięg i słów najczulszych mówił o miłości swojej, — byłaby to kropla nadebrana z oceanu.

BIANCA (Śpiew Lucii coraz bliżej)

Panie! Narażacie i siebie, i mnie!

CARRARO (podnosząc się)!

I was? Przyjdę po zachodzie.

BIANCA.

Nie, nie. Nie bywam sama... (śpiew bliżej) Jeżeli
mnie choć trochę... (składając ręce) jeśliście życzliwi...

CARRARO.

A więc po wschodzie księżycu!

BIANCA.

Dziś niepodobna!

CARRARO.

A więc jutro po wschodzie księżycu! (Znow szybko
przykłęka, całuje rąbek jej sukni i wybiega).

BIANCA (cisnąc dłońmi skronie)

On mnie kocha! On mnie kocha! On mnie kocha!

Scena 7.

LUCIA (wbiegając)

Cóż za wczesna z ciebie ptaszyna. Ale czegoś ty taka blada, księżniczko moja?

BIANCA.

Nic, nic... (Po długiej chwili złapawszy dech). Czyś zauważyła dziwny wyraz oczu... (urywa).

LUCIA.

Czyich? Czy nie tego biednego cudzoziemca? (Bianca milczy z pomieszaniem). Jakto, od rana zaraz o nim? Może ci się też śnił?

BIANCA.

Czym ci powiedziała? Wyobraź sobie: całe to nasze pierwsze spotkanie... tylko trochę inaczej.

LUCIA.

Pierwsze! A więc były następne? Nawet ina-

czej? O święta Lucio! A nie mów-że o tem tak głośno!

BIANCA

Czemu?

LUCIA.

Nie wypada dziewicy śnić o mężczyznach: zalotnikowi twemu księżecemu mogłoby się to nie podobać? Żeby mu tak szepnąć dziś o tem przy zabawie? Straciłby humor na cały wieczór.

BIANCA.

Kochając, chciałabym, żeby gardzili i nienawidzili mnie wszyscy, czyja cześć i miłość stałaby między mną a ukochanym.

LUCIA (drgnąwszy, żywo)

Bianko! czy to o tym?...

BIANCA (potwierdzając głową z uśmiechem)

Śmiałażbym się sprzeciwić twoim rozkazom i przepowiedniom? Masz, czegoś chciała: kocham.

LUCIA.

Przedewszystkiem radziłam ci kochać się, nie zaś kochać.

BIANCA.

Czyżbym więc zadobrze wykonała twoją wolę?

LUCIA.

Żeby ten waryat wiedział, że księżniczka Mole-ny żartem chociażby tak o nim mówi!... Bóg wie, coby mu się ubrdalo i czego by się zachciało. A włóczy się wciąż, jakby na złość, mimo zamku, a zagląda.

BIANCA (zrywa się)

Widziałaś go znów?

LUCIA.

I to ty? ty? Co się z tobą dzieje?... Ileś ty już razy go widziała?

BIANCA (jąkając się)

Cztery czy pięć.

LUCIA.

Wart-że on twego kochania?

BIANCA.

A któż wart?

LUCIA.

Nikt, nikt.

BIANCA.

Więc kochać nie należy wcale?

LUCIA.

Zależy od tego, jak. Półzartem—czemużby nie?

BIANCA.

Możesz i masz słuszość. (Po chwili). Ale nie dla mnie.

LUCIA.

Otóż to! Tybyś potrafiła zapomnieć, że to szlachcie pospolity.

BIANCA.

Pospolity? Nie wiem, jak się nazywa, ale czuję, że to wielki rycerz wielkiego serca.

LUCIA.

Według ciebie dość mieć łgarza za pacholka...

BIANCA.

Jak dumnie stąpał wczoraj koń jego. I ta gawiedź na twarz nie pada. Głupi tłum, co się tłoczy dokoła każdej karocy złoconej...

LUCIA.

Jakto? Tak o nędzarzach swoich ukochanych? Z jednym sługą tylko...

BIANCA (przerywając).

Widziałże świat tryumfatora wspanialszego?

LUCIA.

Bianko! Bianco! (Długo patrzy na nią w osłupieniu). Czy ty drwisz ze mnie? (Po chwili gorąco). Czy ty wiesz, kto on? Może to jakiś rycerz nowożytny,

który, nie mogąc się mieczem państw dobić, chce przez ciebie... Księżniczka mu się marzy.

BIANCA (żywo).

On nie wie nawet!...

LUCIA.

Nie wie? A z kąd ty wiesz, że on nie wie? Więc naprawdę?... Mówiłaś z nim?! (Bianca milczy). A więc!... a więc! (Wybucha płaczem).

BIANCA (składając ręce).

Cicho, cicho!

LUCIA.

A ja ci przysięgam, że on się domyślił. (Wychodzi płacząc).

BIANCA (sama).

A może! A może! Tylko o księżniczkę... Lucio!... Ale nie, nie! Ani razu mnie nie nazwał...

(Zastona).

AKT II.

Scena I.

Jasna noc.

Przy altanie CARRARO (siedzi z głową opartą na rękę). BIANCA (wchodzi).

CARRARO (zrywając się).

Wasza wysokość, raczcie!...

BIANCA (cofając się).

Ach! (Po chwili). Za księżniczkę bierzecie mnie, panie? Pomyłka to okrutna. Jestem tylko jej towarzyszką.

CARRARO (zmieszany).

Jakto? Wy nie jesteście?...

BIANCA (z goryczą).

Wszystkież dziewczęta winny być córami władców?

CARRARO (jakby do siebie).

Czarne oczy przy jasnych włosach...

BIANCA.

Tem was w błąd ludzie wprowadzili? Prawda, mam takie same oczy, jak i... jej wysokość. Niestety, najprostszą ze śmiertelniczek jestem. (Chce odejść).

CARRARO (z ogniem, zastępując jej drogę).

Najcudniejszą ze śmiertelniczek! najbardziej boską ze śmiertelniczek. (Nagle z przest్రachem). Więc to nie wyście wtedy śpiewali? (Smutnie i nie dając czasu na odpowiedź). Ale teraz to już wszystko jedno.

BIANCA (żywo).

Śpiewałam ja.

CARRARO (radośnie).

Wy? Wy?!... Mówiono mi, że to księżniczka właśnie ma głos cudny.

BIANCA.

Wszyscy mówią że... jej wysokość śpiewa daleko piękniej... odemnie.

CARRARO.

Głupcy! Pochlebcy nędzni! Alboż to możliwe? O pani moja!...

BIANCA.

Jestem tylko biedną, choć... dobrego rodu dziewczyną.

CARRARO (przyklękając i składając ręce, jak do modlitwy).

Czyżby gronostaje dodały uroku bogini? Dla cór cesara byłoby zaszczytem brzeg twej szaty ucałować. (Chce pochwycić rąbek sukni, Bianca się cofa).

BIANCA (jakby jej tchu brakło).

Tak się cieszycie... żem nie tem, za coście mnie mieli. Byłażbym mniej godna miłości, gdyby posagiem moim był tron Moleny?

CARRARO (zrywa się i zbliża ku niej).

Zostałaś cudem cudów, zostałaś sobą, i kochałbym cię zarówno w purpurze, jak w odzieży prostaczej. Ale...

BIANCA.

Ale co?

CARRARO

Nie wiem. Nie mogę powiedzieć. Ale... ale tak lepiej.

BIANCA.

Dlaczego?

CARRARO.

Zato ci powiem, że czy chcesz, czy nie chcesz—jam twój na śmierć i życie. Ach, kochaj mnie! I tyś

nie księżniczka! A ja, głupiec, cały dzień dzisiejszy dręczyłem się... (Chwyta jej rękę). Słuchaj! Uchodź ze mną!

BIANCA (wyrywa rękę).

Ja? z wami?!

CARRARO.

Nie chcesz? nie chcesz? (Po chwili). Myślisz: „czemuby się on nie miał rozticom o mnie pokłonić?“ Zajrzyj do serca mojego: nożem ci je otworzę, jeśli nie wierzysz, że prawe. Nie daliby ciebie... wygnańcowi. Nie mógłbym im odkryć... co mnie czeka. Ale tobie przysięgnę wobec Boga i kapłana, co nas połączy, że ci dam los świetniejszy, niżby ci najbogatszy pan Moleny mógł przyobiecać.

BIANCA.

Nie dbam o to.

CARRARO.

Terazby ciebie nie dali... przybędzie, ale kiedyś—prędko—błogosławić będą sami... Uciekajmy. Kiedyś wrócimy... prędko...

BIANCA.

Nie, nie!

CARRARO.

Mamże wciąż drzeć, że mi cię kto zabierze, że nas wyśledzą, że... coś się stanie. I czemu?...

BIANCA.

Nie mówcie o tem. Niepodobna. Wnetby do strzegli.

CARRARO.

Moich koni nawet konie księcia nie dogonią.

BIANCA.

Nie, nie mogę, nie mogę! Nie!

CARRARO (smutnie).

Nie kochacie mnie? nie wierzycie? Nie znacie mnie, prawda!

BIANCA.

Ach, wierzę i... i... ale nie mogę, nie mogę.

CARRARO.

Kochasz? kochasz?

BIANCA (z wysiłkiem, przez łyzy).

Przyszłam wam to powiedzieć, ale... nie śmiem.

CARRARO (rzucając się ku niej).

Więc kochasz? (Bianca się usuwa) Drżysz cała?
Boisz się?

BIANCA (cicho).

Tak.

CARRARO.

I czego? czego? We mnie tyleż dla ciebie nie bezpieczeństwa, co w pobożnym pielgrzymie dla obrazu cudownego.

BIANCA.

Sama nie wiem, czego. Coś mnie ciągnie do was, i boję się, was się boję. Gdyby mi kto mówił.. przysięgał, żeście... żeście zły człowiek, nie chciałabym słuchać. A wiem, że nie znam was. I tak dzi-

wnie. Co ja tu robię... sama w nocy? A mogłamże nie przyjść? Niby lunatyczka... Gardzicie mną pewno?

CARRARO.

Jak więzień zgnębiony mrokiem stęchłym swego lochu gardzi aniołem, co otwiera przed nim wolne pola i lasy, góry i morza.

BIANCA.

Mówicie tak do mnie, chociażem nie księżniczka?

CARRARO.

Od stada królewien odwróciłbym się dla twojej łzy lub uśmiechu. Kopnąłbym nogą cały wór koron królewskich, bylebyś mi powiedziała: „kocham cię i nie boję się,“ bylebyś!... (Urywa i odstępkuje, opuszczając wyciągnięte ku niej ramiona). Nie, nie śmiem, nie śmiem! (Uderza się w czoło). Ja nie śmiem!

BIANCA.

Czy to sen?

CARRARO.

Tak, sen, sen, stokroć prawdziwszy od rzeczywistości. Jak mi w nim zmałało, jak mgłą zaszło wszystko wczorajsze. Jestem jak wyrobnik, co kopiąc glinę skarb znalazł.

BIANCA.

I dla mnie też wszystko się zmienia. Kocham i już dumna i szczęśliwa jestem, że kocham.

CARRARO.

Madona!

BIANCA.

Teraz mi wstyd, że się tak modliła o chmury z deszczem i gromem. Ale kiedy sierp księżyca srebrząc się pomknął ku górze, usłyszałam wyraźnie głos, co mnie wołał, — i pobiegłam... Wyśmiejecie mnie pewno.

CARRARO.

Jak pustelnik wyśmiałby Madonę, gdyby doń zstąpiła podczas modlitwy gorącej.

BIANCA (z przestraczem).

Nie trzeba bluźnić! nie! Tak słodko mi słuchać i patrzeć... Serce takie pełne szczęścia, jak czara z waszej piosnki. Co mi tak dech zapiera: rozkosz, czy strach? I wy drżycie. Czy też boicie się? Jesteśmy pewno występni.

CARRARO.

Jak występny jest słowik, którego pieśń namiętna brzmi w tej ciszy nocnej. Słyszysz, jaką czystą modlitwą wzbija się ona ku niebu. Patrz, jak czule pieści śpiewaka jasny wzrok księżycy! Spójrz na łzy zachwytu na rzęsach kwiatów, które na skrzydłach tej pieśni — kadzielnice żywe—ślą ku tronowi Boga swoje westchnienia upajające. Widzisz? Słyszysz? To naszą tęsknotę, nasz zachwyt on śpiewa. I oto promienne oczy aniołów mrugają na nas radością niezmierną. Słyszysz, jak szemrzą liście? Nasz szept zbudził wiatr nocny, i opowiada on drzewom i krzewom cudną baśń naszej miłości. To nam one słyszysz wszystkie te skinienia życzliwe. I jaki dziwny świat cały. Jak przepojone wszystko dźwiękami i blaskami zachwytu. Kocham cię!

BIANCA (po chwili).

I już się zamilkł. Jakiś ty sam dziwny, jaki piękny. Kto natchnął słowa twoje mocą czarodziejską? Jak puchy kwietne grubym kobiercem ziemię one usłały... Niby wonią róż powietrze niemi nasiąkło. To ich dźwięki płoną migotliwie nad nami, to one łkają z zachwytu w ciszy nocnej, one szemrzą tajemniczo, srebrząc liście, one opadły brylantami na kwiaty i trawy. Już się nie boję. Kocham i nie boję się. (Carraro otacza ją ramieniem, patrząc w jej twarz). Już nawet puchów kwietnych pod stopami nie czuję. W uścisku, jak jedna gwiazda spadająca lecim w bezmiarze, a światła niebieskie — uśmiechy Boże — witają nas, przelatujących mimo, jak chwila marzenia.

(Zasłona).

Scena 2.

BIANCA, margrabina MALFI, SILVIA i LUCIA.

(Ranek).

MALFI.

Jakże się dziś spało ptaszynie mojej królewskiej?

BIANCA.

Dziękuję wam, margrabino, ale oto siostrzyczka moja Lucia ma oczy w podkówkach.

SILVIA.

Może znowu sprawa kolacyi, chociaż wczoraj mieliśmy piątek.

MALFI (wybuchając tłumionym śmiechem).

Ach, ty mała! Z cicha-pęk!

LUCIA.

Lepsza świeża ryba na kolację, niż dowcip odgrzewany na śniadanie.

SILVIA.

Przy śniadaniu nie dopisuje ci apetyt?

LUCIA.

Do świętych ryb czy dowcipów—nigdy.

MALFI (zżyma się—potem ze słodyczą wesołą do Bianki).

A jakże tam serduszko waszej wysokości? Drży na myśl o przyszłej niedzieli?

BIANCA (kładąc rękę na sercu).

Drży, margrabino.

SILVIA (jednocześnie marmocze niewyraźnie, odchodząc na stronę. Słychać wyrazy).

...niesłychane..! kucharką...

MALFI (do Bianki).

I ma czego. Ten bal zaćmi wszystko, co oczy nasze kiedykolwiek oglądały.

BIANCA (rzucając robótkę, radośnie).

Naprawdę? Ach, jak to dobrze, jak to dobrze!

LUCIA (ze zdziwieniem).

Tak się cieszysz? z balu?

BIANCA.

Cieszę się, cieszę jak szalona.

MALFI.

I ma wasza wysokość czego. Owo serduszko drżące czuje coś może? Królownę czeka tam królowanie z pewnym pięknym królewiczem...

BIANCA (przerywając).

Czy wasza druga siostrzenica, hrabianka Neri. przyjedzie też na tę zabawę?

MALFI.

Oczywiście. (Do Silvii i Lucii) Moje panny! może-
byście się zajęły teraz... wiecie już czem.

SILVIA i LUCIA (jednocześnie).

Slucham, ciotko.

Slucham, margrabino. (wychodzą).

MALFI.

Chciałam powiedzieć waszej wysokości słów parę, to też, chcąc usunąć Lucię, musiałam też oddalić to takie przywiązane do waszej wysokości, takie oddalone dziecko...

BIANCA.

Wdzięcznam Silvii za tę dla mnie życzliwość, z kądem jednak nieufność taka względem Lucii?

MALFI.

Wasza wysokość jest tak dobrą, że za dobrą jest nawet dla tych, którzy dobroci jej wcale cenić nie umieją.

BIANCA.

Miałoby się to stosować do Lucii?

MALFI.

Znam słabość waszej wysokości dla tej panny, którą zresztą sama lubię bardzo, i gdyby obowiązek wierności nie nakazywał mi być bezstronną i szczerą... Mogę nie widzieć pustoty i złośliwości, która (z naciśkiem) nic i nikogo nie uszanuje? Nie wyobraża sobie wasza wysokość, jak to poczciwe dziecko, Silvia, ma jej za złe poufałość względem swej pani.

BIANCA.

Ależ Lucia stosuje się w tem do mojej prośby.

MALFI.

Może uczucia nasze są już zacofane i śmieszne— przynajmniej są tacy, co tak mniemają — lecz niedalej, niż wczoraj, to dobre dziecko, Silvia, powiada do mnie: „Ach, ciotko droga! Gdyby mi jej wysokość sama kazała mówić do siebie, jak do prostej dziewczyny, prędzejbym chyba umarła, niż usłuchała: przecież to tak, jakby Madona!“

BIANCA.

Cóż znów!

MALFI.

Zapewne, są oczywiście tacy, co cześć dla władców swoich uważają za przesąd, w naszej jednak rodzinie zacofanej żyją stare a święte tradycje. Taka szlachta wczorajsza...

BIANCA.

Przecież ród Comarlich...

MALFI (przerywając).

Możnaż go porównywać z rodem Castinianich? Jeden z Casti...

BIANCA.

Wiem, wiem, margrabino, i o starożytność rodu Lucii nie będę kruszyła kopii. Pamiętam tylko, żeśmy rosły razem, jak siostry.

MALFI.

To nie racya! Nie dokuczałabym jednak tem waszej wysokości, gdyby jego wysokość książę pan..

BIANCA.

Przy ojcu i przy obcych ona się wystrzega.

MALFI.

My w naszej rodzinie pełni jesteśmy przesądów i wola panów naszych, obecnych czy nieobecnych, jest nam zarówno święta. Ale nie o tem właściwie chciałam mówić. Jego wysokość rozumie, że wysokie zalety i miłość księcia Ferraty musiały zrobić wrażenie na waszej wysokości...

BIANCA (bładnąc).

Nie zwracałam uwagi.

MALFI.

To też jego wysokość, znając skromność anielską swej córki, obawia się zbytniego, że tak powiem, chłodu, któryby mógł zmrozić rozkwitający pąk uczuć królewskich przyszłego pana Ferraty.

BIANCA.

Czy z polecenia mego ojca?...

MALFI.

Tak jest, mówię z rozkazu jego wysokości księcia pana, który w małżeństwie tem widzi zarówno szczęście swego dziecięcia, jak i tryumf Moleny. Nie wątpi on, iż pełne miłości serce córki będzie też pamiętało o tem, że przyjaźń Ferraty, szczególnie w okolicznościach obecnych, jest osobliwie pożądaną. Rozumiem pomieszanie waszej wysokości: wrodzona skromność dziewczycza wzdryga się na myśl samą o jakimś zbliżeniu z mężczyzną, mam jednak nadzieję...

LUCIA (wchodząc).

Hrabina Neri pragnie widzieć waszą miłość, margrabino.

BIANCA (wskazując książkę.)

Ach, Lucio, umieram z ciekawości: musisz mi natychmiast doczytać ten poemat. (Do margrabiny). Chyba wszystkoście mi już powiedzieli?

MALFI.

Skończyłam, i jeżeli wasza wysokość pozwoli...

BIANCA.

Ależ proszę was, margrabino! Czytaj że, Lucio.
(Margrabina wychodzi).

LUCIA.

Co ci to, Bianco? Co ci ta... margrabina powiedziała?

BIANCA (siłąc się na spokój i wesołość).

Nic, nic! Czy nie wyobrażasz już sobie, że tobie tylko wolno się smucić? (Opanowawszy się). Powiedz mi lepiej ty, pustaku drogi, co się z tobą stało? Całą dobę śmiechu twego nie słyszałam. Te łzy wczorajsze błyszczą ci wciąż w oczach, a wodzisz nie mi za mną, jakbyś na cień umarłej Bianki patrzyła. Tyś wesołością moją, a jeśli wesołość moja we łzach będzie, to cóż smutek?

LUCIA.

Ach, tak mi straszno za ciebie!

BIANCA.

I czego? Dam ci zaraz dowód, jak cię mylą złe przeczucia. Prawda, domyślił się on kim jestem...

LUCIA.

Przecieżem to właśnie mówiła.

BIANCA.

Zaczekaj. Ale tak się ucieszył szalenie, kiedy mu powiedziałam, że towarzyszką tylko księżniczki... Słyszał, jak wyglądam, ale mamy przecie także same oczy i włosy.

LUCIA.

Powiedz: podobnej barwy. Żeby to ja miała takie oczy... Więc mnie teraz ma za jej wysokość? A to sobie musiał przygryźć język za ową wróżbę: nie daruję mu jej, o nie!

BIANCA.

Daruj, daruj, Lucio. Samaś go tak wtedy dręczyła. A on... nie jest zły. Czasem mignie mu na twarzy cień złowrogi... Może i zdobyłby się na okrucieństwo... we wściekłości... Ale wierz, on bardzo dobry.

LUCIA.

Rozumiem: złowrogi, wściekły, okrutny,—lecz anielsko dobry.

BIANCA.

Zaczynasz sobie dworować ze mnie? Dobrze, dobrze, moja mała, moja miła! Bylebyś mi się wypogodziła, byleby mi wróciła dawna moja Lucia.

LUCIA (nagle).

Ale powiedz, o nieśmiała, skromne i niewinne stworzenie, jak ci się udaje zmylić czujność margrabiny, która się przecie na tych rzeczach zna: gdzie go widzisz?

BIANCA (w widocznej walce wewnętrznej).

LUCIA.

Pewno sekret?

BIANCA (żywo).

Przed tobą? (Po chwili, ciszej). A, nie powiesz? Ach przepraszam, przepraszam, sama nie wiem co mówię. (Po nowej pauzie). W... altanie... tej...

LUCIA.

Kiedy? Przecie cały dzień?... (Urywa).

BIANCA (szepcem).

W nocy.

LUCIA (zrywa się, załamując ręce).

Ty? ty?!

BIANCA (zrywa się też i obejmuje ją).

Myślisz może co złego? On wygląda tylko na takiego szaleńca, a klęcząc całuje rąbek mej sukienki i modli się, jak do obrazu cudownego. Zaiedwo raz... (Urywa).

LUCIA.

Czemuż nie kończysz? Więc dlatego tej sukienki różowej nie chciałaś oddać służbie, tylko schowałaś, jak relikwię? Jeśli to potrwa, pokojowe go przeklną.

BIANCA.

Jak możesz tak śmieszyć, płacząc sama? I czego? Przecie powiadam..

LUCIA.

A niechby sobie był stokroć śmielszy! Niechby całował, gdzie chce!...

BIANCA.

Co ty pleciesz, Lucio! Gotowam się rozgniewać, doprawdy.

LUCIA (siadając).

Spróbuj, jeśli potrafisz, a ja ci powtarzam: gdyby nawet nie wiem co... niewielkie było by nieszczęście. (Bianka czyni gest przerażenia i zgrozy) Zaczekaj! W naszych czasach, jeżeli zwykła nawet panna ma dobry posag, nikt na takie błahostki nie zważa, a cóż dopiero w polityce! Polityka—wielka rzecz. Czego innego się boję.

BIANCA.

Nie zgadnę nigdy.

LUCIA.

Gdybyś—jak ja, jak inne dziewczęta—lubiła potrosze wszystkich chłopców, drwiąc z najbardziej

lubionych. Ale ty tak zaraz bierzesz wszystko do serca.

BIANCA (z westchnieniem).

To prawda.

LUCIA.

Każdej innej księżniczce, zakochanej w takim biednym cudzoziemcu, aniby do głowy nie przyszło wahać się wobec partyi, jaka ci się następuje.

BIANCA.

Ja się też nie waham.

LUCIA.

Tak? Czegożes więc miała twarz taką rozpaczoną i zaciętą, kiedym weszła? Przecie wiem, po co nas wysłano. Gdybyś była zdecydowana wyjść za księcia Ferraty...

BIANCA.

Jestem za to zdecydowana nie wyjść.

LUCIA.

Co?! Przecie rozumiesz, że księżniczce—zostać żoną byle wygnańca niewolno.

BIANCA (ze skupieniem).

Ale umrzeć wolno.

LUCIA (zrywa się znów i wpatruje w nią. Siłąc się zapanować nad wzruszeniem).

Otóż to! otóż to! Z tobą... niewiedomo... niewiadamo, jak mówić. Każda inna widziałaby jasno całą niemożliwość, rozumiałaby, że się t zeba liczyć... Rozumiałaby, co z tego wszystkiego być może. Każda rozsądna...

BIANCA (żartobliwie, z uśmiechem wymuszonym).

To jest nie taka, jak ja? Dziękuję za komplement.

LUCIA.

Każda inna w razie jakiejś katastrofy, popłakawszy może trochę, pocieszyłaby się mężem, czy jakim drugim, a tobie się zdaje, że się świat kończy na... Jakże się on nazywa?

BIANCA.

Nie wiem.

LUCIA.

Jakto? Nie zapytałaś go?

BIANCA.

Zapomniałam. Mówiliśmy o czem innym.

LUCIA.

Zapewne! A więc—piękny nieznajomy. Otóż jeżeli was kto wyśledzi (Bianca bladnie), co się stać musi nie dziś to jutro,—dla ciebie się skończy wielkiemi przykrościami, ale dla niego się skończyć może zupełnie. (Bianca bladnie coraz bardziej) Wiesz przecie, że z księciem panem niema żartów... Bianco, na miłość Boską, nie patrz tak!

BIANCA (po chwili cicho i dobitnie).

Masz słusność: musimy uciekać!

LUCIA.

Co? Ja mam słusność? Ja radzę ci uciekać z tym obieżyświatem?

BIANCA (drgnąwszy).

Lucio!

LUCIA.

Przebacz, przebacz! Mimowoli... Nigdy już, nigdy tak nie powiem. Ale jak możesz mówić, że ja..

BIANCA.

Masz słuszość, że mu ojciec nie da mnie, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, a więc... Nie chciałam słuchać dotychczas.

LUCIA (załamując ręce.)

Ty? księżniczka Moleny?... I nie żal ci ojca, który cię ma jedną?

BIANCA.

Żal, strasznie żal; może umrę z żalu. Gdyby go jednak ojciec mój... Ach, byłoby gorzej, tysiąc razy gorzej. Muszę, muszę!

LUCIA (wybuchając).

Bianko, opamiętaj się! Co ty mówisz? (Z płaczem po chwili). Właśnie... Właśnie... Takie szaleń-

stwo. Tegom się bała. Ale to niemożliwe. Nie pozwolę, nie! Wiem co zrobię. Dam mu znać, że książę wie o wszystkim, że ciebie strzegą, a jego śledzą... Niech sam ucieka!...

BIANCA (z uśmiechem dumy).

On ucieknie? Nie znasz go.

LUCIA.

Za to ty znasz... jego imię.

BIANCA.

Imię? Wiem, że nie mogłoby być większem od jego duszy.

LUCIA.

A więc... Niech się co chce dzieje. Raz trzeba z tem skończyć. Powiem o wszystkim księciu: niech cię ratuje, póki czas.

BIANCA.

Nie zrobisz tego!

LUCIA.

Ale powiem Lapiemu.

BIANCA.

Nie powiesz nikomu.

LUCIA (rzucając się jej na szyję).

Bianko jedyna, nie uciekaj bezemnie. Za kilka dni przywiozą moje klejnoty.

BIANCA.

Dobrze, dobrze, dzieciaku! Zaczekam na twoje skarby.

LUCIA.

I zamiast Lodovica Leschi dasz mi chyba za męża tego niedźwiedzia jasnowłosego. Ale pomyśl, pomyśl, Bianko!...

BIANCA.

Kochać—to kochać, na szczęście czy nieszczęście na ziemi, na niebo czy piekło za ziemią.

LUCIA (płacze).

BIANCA.

Cicho, cicho, dzieciaku! (Po chwili z wysiłkiem).
Lucio! Słuchaj. Ja ci coś powiem.

LUCIA (nagle uciszając się, spogląda na nią ze zdziwieniem).

Co?

BIANCA.

Takbym go chciała zobaczyć... we dnie... zbliska... Takam niespokojna... takie dziś sny straszne miałam...

LUCIA.

Więc cóż? Może pójdziesz do niego?

BIANCA (wskazuje).

Widzisz ten gąszcz? Przysięgłabym, że on tam, i gdybym tylko zaśpiewała...

LUCIA.

I ja mam sama do tego pomagać? Więc mam

odejść? i może stanąć o kilkadziesiąt kroków na tej jedynej ścieżce do zamku, żeby dać znak głosem, jeżeli... Milczysz? A głowę spuszczasz! A wstydzisz się... Tyś mu kazała przyjść.

BIANCA.

Przysięgam, nie! Tylko czuję. Zresztą, choćby go tu nie było, choćby był najdalej—usłyszysz i przyjdzie. (Z uśmiechem) To czary, Lucio. Idź, i... i daj znak, jeżeli... (Do wychodzącej Lucii żartobliwie). Lucio, przecie lubisz mój śpiew. Będę tak śpiewała głośno, że ty mnie też usłyszysz.

LUCIA.

Ach, Bianco, Bianco.

BIANCA.

Ale ja mu nie powiem, żem go wołała, nie... Idź, idź, Lucio najmilsza! (Lucia wychodzi, potrząsając głową).

BIANCA (śpiewa).

Ktoś ty taki, i jaka kraina

Takim synem się szczyci?

Kto wybranka, co mlekiem swem syna
Bohatera karmiła?
Ktoś ty? Czy ci
Duma władców lśni w oku, czyli też bogów siła?

*

(Nasłuchuje, potem mówi cichym, skupionym głosem)
Króleć rodzą, rycerze li prości,
Ród twój — nad wszystkie ziemi.
Cały on — cud odwagi, piękności
I rozumu, i siły,
A skarby temi
Najbogatsze w nie przodki cię, nieznany, darzyły.

*

Słyszysz? (Nasłuchuje). Muszę cię ujrzeć znów,
[muszę. (Nasłuchuje).
Wołać cię nie przestanę.
Jak archanioł olśniłeś mą duszę
Swoją mocą i chwałą,
I raz spotkane
Twe spojrzenie w mem sercu słońcem wnet za-
[pałało

*

Czy zechcesz wiecznie mnie kochać, panie?
Kochaj mnie, bohaterze!
Ród mój też obok największych stanie,
Jestem piękna, bogata,
Kocham i wierzę,
I dla ciebie gotowam rzec się wszelkich dóbr
[świata.

*

(Nasłuchuje i po chwili znów śpiewa).
Jak mam zwać cię w modlitwie i pieśni?
Czy twe serce mnie słyszy? (Carraro się ukazuje).
Znów wybiegłam, zerwawszy się wcześniej,
By w tej samej altanie
Pomarzyć w ciszy
O tobie. Przyjdź, jak wtedy, usłysz me wołanie!

Scena 3.

BIANCA i CARRARO.

CARRARO (staje u wejścia do altany, wyciągając ku niej ramiona, i po chwili pada jej do nóg).

BIANCA (stoi, zasłoniwszy rękami oczy).

CARRARO (zrywa się, obejmuje ją i tuli do siebie).

BIANCA (drży i płacze cichutko).

Takem chciała was we dnie zobaczyć i teraz nie śmiem...

CARRARO (Podnosi jej głowę, w oczy zaglądając).
Taka smutna?

BIANCA.

Okropne mary dręczyły mnie tej nocy. Śniła mi się wojna: ojca mego zamordowano i mnie wygnano. Błakałam się gdzieś po lasach, a wyście mnie już nie kochali.

CARRARO.

Cóż za sen kłamliwy! Wszystko was zawiedzie,
tylko nie serce moje.

BIANCA.

Słyszałam, że mężczyźni zawsze zwodzą i pewno tak jest, skoro wszyscy mówią. Ale cóż z tego? Wam—choćbym nie chciała — muszę wierzyć. Powiedźcie: przestalibyście mnie wtedy kochać?

CARRARO.

Ach, nie, nigdy, jedyna moja, gołąbko moja biała!

BIANCA.

Nawet gdyby ojciec mój utracił wszystko... i padł? nawet... gdyby mnie przeklął i wygnał?

CARRARO.

Jam twój na śmierć i życie.

BIANCA (tuląc się do niego).

I jam twoja! twoja tu i tam... (Odsuwa się nagle)
Jakam ja zła! Jaka zła! Czemuż taka błogość nagle załała mi duszę? Że choć ojciec zginął, aleś ty

mój? Żem przeklęta przez niego, ale przez ciebie kochana. Jakimże grzechem jest miłość moja!

CARRARO.

Nie, nie! Tyś święta! tyś święta!

BIANCA.

Jestem zła, okropnie zła. Często myślałam, ale teraz widzę, widzę... Nie kocham już snuć ni Boga, ni ojca. (Załamując ręce) Nie kochałam nic, prócz ciebie.

CARRARO.

Ty ojca nie kochasz? Przysięgnę, że jak Madona kochasz najpodlejszego nawet z jego pacholków, że płakałabyś nad złamanem skrzydełkiem ptaszęcia.

BIANCA.

Nie usprawiedliwiaj mnie.

CARRARO.

Boga nie kochasz? Gdyby o grób jego szło walczyć chrześcijaństwo, przysięgnę na duszę, sama-bys mnie...

BIANCA (wybuchając płaczem).

Nie przysięgaj, nie! Usłyszałam niedawno, że Turcy wielką moc gotują na Malte, i wnet pomyślałam: żebyż on nie poszedł! Widzisz, widzisz!...

CARRARO.

Ach, nie płacz!

BIANCA.

Nie pójdziesz? Nie porzucisz mnie?

CARRARO.

Nie, nie! Chyba mi sama każesz!

BIANCA.

A więc nigdy. Co się ze mną stało? Jestem szalona, czy urzeczona? Kiedy wyteżę myśl, żeby się zastanowić, ogarnia mnie przerażenie. Nic już dla mnie ważnego, godnego uwagi, jeżeli się nie tyczy człowieka, którego zdaje mi się, znam lepiej niż kogo-bądź na świecie i, zdaje się, nie znam wcale. Co innego wiem, co innego czuję. I wszystkie myśli, wszystkie uczucia w blasku tego płomienia, co się jak proch zapalił, lecz jak proch nie gaśnie, żyją, jak rój

muszek w promyku słonecznym. I chcę cię tak kochać. To okropne!

CARRARO (chwyta jej rękę)

To cudne! to boskie!

BIANCA.

Czas istnieje dla mnie od jednego do drugiego spotkania się z tobą. Przedtem, zdaje mi się, tylko duch undsił się nad wodami, a potem—będzie może sąd ostateczny, może nie. Nie wiem i wszystko mi jedno! (Zarzuca mu namiętnie ręce na szyję). Co to? (zrywa się, nasłuchując).

CARRARO (wstaje i też nasłuchuje).

Czego? czego?

BIANCA.

Nie! nie! Zdało mi się, że ktoś idzie.

CARRARO

Gałązka sucha spadła. (Znowu siada, przyciągając ją do siebie).

BIANCA.

Wciąż myślę o tem, coś mi mówił... dawno...

CARRARO.

O czem, bóstwo moje dobre? .

BIANCA (usuwając się nagle)

Nie nazywaj mnie tak, proszę. (Znów się doń tuli)
Coraz mi straszniej: nuż nas wysledzą.

CARRARO.

Padnę wtedy do nóg twemu ojcu i ..

BIANCA (z przest్రachem)

Ach, nie, nie!

CARRARO (odchyła się, zaglądnając jej w oczy. Zmienio-
nym głosem)

Znaleźli ci już męża? Jak się nazywasz?

BIANCA.

Weź mnie gdzie daleko, daleko, do swojej ojczy-
zny. Albo nie! Tam będą nas szukali, niebo i zie-
mie poruszają. Matka moja była Hiszpanką i często-
mnie, dziecku, z zachwytem mówiła o kraju swoim:
pokochałam go.

CARRARO (tak samo)

Twój narzeczony jest tu?

BIANCA (obejmując go)

Nie myśl o tem, nie! Jam twoja — żywa czy umarła.

CARRARO.

Więc uciekajmy. Chcesz? — jutro. Na rano stanem w Sarmie.

BIANCA.

W Sarmie? Dlaczego w Sarmie? Mój ojciec teraz z księciem Sarmy... (Urywa).

CARRARO.

Ojciec twój w Sarmie posłuje? Więc signor Cesi...

BIANCA.

Nie mówmy już o tem. Jutro — niepodobna. Za kilka dni. Trzymaj wszystko w pogotowiu. Powiem ci sama. Ale nie do Sarmy.

CARRARO.

Dokąd chcesz, gołąbko moja biała!

BIANCA.

Do Wenecyi.

CARRARO (znów zmienionym głosem)

Czy często... go widzisz?

BIANCA

Kogo?

CARRARO.

Tego... narzeczonego? Więc tyś nie Lucia Comarli?

BIANCA.

Znów? Ach, nie mów o tem! (Zarzucając mu rękę na szyję) Jestem twoja... biała gołąbka.

CARRARO.

Moja! moja! moja!

BIANCA.

Twoja! twoja! twoja!...

(Zastona).

Scena 4.

W winiarni. Dwa stoły na przodzie sceny, dwa w głębi. Przy 1-ym z lewej strony—szlachta Moleny, przy drugim CAR-RARO i DOWMUNT, przy 3-im prawym — w głębi kilku mieszczan, przy 4-ym—grupa cudzoziemców, Niemców przeważnie.

SZLACHCIC 1.

Czy słońce dziś wcale nie zajdzie?

SZLACHCIC 2.

Z godzinkę bądź jeszcze cierpliwy dla Pana Boga.

SZLACHCIC 3.

Że upał, to upał: ładna mi wiosna.

SZLACHCIC 4.

Pijesz więc, jak smok, dla ochłody.

SZLACHCIC 3.

...W lecie, w zimie zaś—dla ogrzania się.

SZLACHCIC 5.

On i kocha tak samo.

SZLACHCIC 1.

Miłość? Ach, opowiem wam nowinę o Amorze.

SZLACHCIC 6.

Obrałże sobie mieszkanie w jakichś niewyssa-
nych jeszcze pocałunkami oczach?

SZLACHCIC 2.

Byłoby więc to nie w Molenie.

SZLACHCIC 5.

Dzięki tobie! Antoni! Cóż bowiem nie padnie
przed bronią twojej nienawiści lub miłości?

SZLACHCIC 3.

Dodaj: według własnego twego, a więc najwia-
rogodniejszego świadectwa.

SZLACHCIC 2.

No, no! bardzo proszę...

SZLACHCIC 7 (do 1-go).

Ale twoja nowina, Graziano?

SZLACHCIC 1.

Słuchajcież! (Zniżając głos) Nasz Antonio... (Wcho-
dzi Mattea Roselli).

SZLACHCIC 7 (do wchodzącego)

Kogo i gdzie widzę? Nie rumień że się, młodzieńcze. Wielka chwała Bogu za twoją poprawę. Bo samotność tylko maichom służy i płuży, a i to rzadko, szklanka zaś wina w dobrej kompanii...

ROSELLI.

Nie na wino przyszedłem, ale was właśnie szukałem.

SZLACHCIC 7.

Witam cię więc podwójnie, kopisto nadworny jego wysokości księcia Moleny.

ROSELLI.

Chciałbym wam na osobności...

SZLACHCIC 7.

Macież mi coś bezwstydnego do powiedzenia? Tembardziej mówcie głośno: pocóż krzywdzić tych szlachetnych panów.

ROSELLI.

Byłem u was kilka razy.

SZLACHCIC 1.

Czemużecie się odrazu nie domyślili, gdzie go szukać?

SZLACHCIC 2.

W dzień — tu, w nocy zaś u dobrej ciotki wciąż zmieniających się siostrzenic...

SZLACHCIC 7.

Dajcie pokój swoim tajemnicom, siadajcie i bierzcie szklankę, a bez min.

ROSELLI.

Dziękuję, nie mam czasu. Chciałem was prosić... czybyście mi nie mogli dać pół dukata za tę kopię „Pokusy św. Antoniego?...”

SZLACHCIC 3.

Czy naszego Antoniego?

SZLACHCIC 4.

Bo on pewno najświętszym jest ze wszystkich świętych tego imienia.

SZLACHCIC 5.

Ten nie dałby się długo kusić.

SZLACHCIC 7 (do Rosellego).

Ani słówka o tem, bo zamiast pół dukata daję wam całe moje słowo: za tydzień.

SZLACHCIC 3.

Kończ-że, Sebastiano: „usłyszycie odemnie to samo.“

ROSELLI.

Przykro mi bardzo, ale pieniędzy tak teraz potrzebuję...

SZLACHCIC 7.

Tylko teraz? Toście szczęśliwi, bo mnie potrzebne one zawsze.

ROSELLI.

Możeby wam choć jaka głupia garstka miedzi różnicy nie zrobiła?

SZLACHCIC 4.

Słyszycie bogacza? Głupiej miedzi!

SZLACHCIC 7.

Rzućcie okiem na mój rachunek dzisiejszy u naszego gospodarza, o kopisto nadworny jego wysokości: to wszystko do zapłacenia, ile zaś jeszcze przybędzie do nocy?!

ROSELLI (wstając).

Przepraszam więc.

SZLACHCIC 1.

Ale ale! Wstrzymajcie się! (Do towarzyszy) Co się to dziś zapóźnił Lenaro. (Do Rosellego) Potrzebna mu jakaś kopia... (Do towarzyszy) dla narzeczonej, zdaje się. (Roselli znów siada)

SZLACHCIC 3.

A cóż ta n, Graziano, bajeczka twoja o Antonim i Amorze, czy też Antonim Amorze? Pyszna myśl! Rzymianie Zeusa greckiego przechrzcili Jupiterem, Feba--Apollinem, zacznijmyż my zwać od dziś Amora—Antonim.

SZLACHCIC 4.

Brawo! Niech więc żyje Antonio! (Do 1-go) I cóż?

SZLACHCIC 1.

Otóż jego dama...

SZLACHCIC 5.

Która?

SZLACHCIC 1.

Zapytaj go sam o numer. Otóż owa piękna dama, usłyszawszy Braniniego...

SZLACHCIC 4.

Zakochała się w nim oczywiście po... Rzekłbym: po uszy, gdybym nie wiedział, że one najmniej znaczą w miłości. Zrobiłbym toż samo na jej miejscu. Jak on śpiewa! Słyszałem teraz w Medyolanie.

SZLACHCIC 6.

Słuchajcie no, Mattea, wy macie niezły głos: słyszałem kiedyś, zabłąkawszy się do tej dzielnicy.

SZLACHCIC 2.

Do Violetty.

SZLACHCIC 6.

Ot dalibyście pokój smarowaniu płócien, a weźcie

się do śpiewu: może z was wyjdzie choć ze ćwierć Braniniego.

SZLACHCIC 4 (do Rosellego, który za odpowiedź machnął ręką).

Co, możebyście nie chcieli tak śpiewać, jak Branini? (Wchodzi Bartolomeo Sera).

ROSELLI.

Zapewne, ale oddałbym jego głos, byleby się w duszy mojej rozdziły, chociażby niesłyszane przez nikogo, melodye... (Urywa)

SERA.

Oddałbym Genuę za Wenecję.

GŁOSY (z wybuchami śmiechu).

Witajcie, mistrzu!... Miejsce dla malarza nadwornego!... A to mu dojechał!.

LENARO (wchodzi, i przywitawszy się ze wszystkimi, do Rosellego)

Jak się macie, puszczyku! Mamże oczom wierzyć, że was tu widzę? Szczęście to dla mnie, bo do

was tak daleko. Co weźmiecie za kopię tej „Pietà“ z kaplicy zamkowej?

ROSELLI.

Jakich rozmiarów?

LENARO.

Jakich rozmiarów? Naturalnie jak w oryginale.

ROSELLI (jąkając się)

Dukat — zwykła cena.

LENARO.

To na nic!

ROSELLI (wyraz męki pokrywając uśmiechem wymuszonym)

Niech będzie połowa... byle zaraz!

LENARO.

Zaraz? A któż głupi płaci z góry? Mazalibyście mi potem rok cały to płótno.

ROSELLI.

Daję słowo...

LENARO.

Wolę obraz. (Do Sery) A wybyście się nie podjęli tego, mistrzu?

SERA.

To nie dla mnie. Mam tyle roboty oryginalnej.

LENARO.

Trzy dukaty? (Sera przeczy głową) Cztery? Pięć?
(Sera przeczy głową).

SZLACHCIC 4.

Ale, ale! Wyobraźcie sobie, panowie, spotkałem go (wskazuje Rosellego) przed paru tygodniami w Medyolanie. Patrząc, w kościele przed jakimś obrazem stoi ktoś z gębą otwartą, oczyma na łbie. On. Gadam — nie słyszy. Ciągnę za rękaw — nie czuje. Musiałem mu dać dobrego szturchańca, żeby go zapytać o nowiny z Moleny: na dobitkę nic nie wiedział.

SZLACHCIC 6.

Jakie to dziwne! Z takim zapalem dla sztuki...

ROSELLI.

Nieszczęściem może mojem, że myśl oderwaną odczuwam tak samo namiętnie, jak obraz.

SERA.

Któż zaprzeczy, iż można być marnym myślicielem i marnym artystą w jednej osobie.

ROSELLI (kończąc i jakby nie słysząc śmiechów)

Zresztą można czuć promień słońca, a być jak szkło mętne, przez które on się nie przedrze.

SERA.

Pyszny to wynalazek — szkiełko okopcone: można patrzeć w samo słońce, a nie olśni.

(Nowy wybuch śmiechu. Roselli zrywa się z zaciśniętymi pięściami i po chwili wybiega).

SZLACHCIC 2.

Cóż za złośliwa bestya z tego Bartolomea.

SERA (wzruszając ramionami).

Czy nie było dziś Leschiego?

SZLACHCIC 6.

I nie będzie. Jutro dopiero wraca.

SERA.

Więc do widzenia!

GŁOSY.

.Jakto?... Nie napijecie się z nami?

SERA.

Nie mam czasu! (Wychodzi).

SZLACHCIC 8.

Nie wyobrazicie sobie, co ten nieuk i zarozumialec odpowiedział raz Bartolomeowi, o którym, choć o kuzynie, śmiało mogę powiedzieć, że jest mistrzem.

SZLACHCIC 3.

.Jesteście jego kuzynem?

SZLACHCIC 8.

Sera, jak komu dobremu, powiada raz: „mieszaj farby nie tak, jak cię cyganie w Hiszpanii uczyli, ale tak a tak.“ A ten: „skorzystam z rady waszej, kiedy będę parkany malował.“

SZLACHCIC 2.

Znany to ptaszek! Zarozumiałość tem głupsza, że bez podstawy.

SZLACHCIC 3.

Mieni się, kiedy mowa o Rafaelu czy Andre-
del Sarto.

SZLACHCIC 4

Jak ty, kiedy mowa o du Lieu lub Tankredzie.

SZLACHCIC 3.

Przy dworze wszystkim się naraził, samemu na-
wet księciu panu w czemś uchybił.

SZLACHCIC 4.

Tylko ojciec Vicenzio z Leggio kocha go po-
dobno jak syna. Może znał jego matkę.

SZLACHCIC 2.

Zbliska. (Do wchodzącego budowniczego nadworne-
go) Panie Celli, co zamyśla siostrzeniec wasz?

CELLI (wita się i siada).

Panie Antonio, co zamyśla siostrzeniec mój?

SZLACHCIC 3.

Alboż nie wiesz? Mattea nietylko wyniósł się
od niego w nocy przed paru miesiącami, ale się nie

klania odtąd wcale ani jemu, ani jego żonie, ani jego dzieciom.

SZLACHCIC 1.

Za cóż taka niełaska spadła na tę rodzinę nie-
szczęsną?

SZLACHCIC 3.

Celli odezwał się niedbale o jego malarstwie
i owych latach włóczęgi po świecie, które zjadły cały
spadek po ojcu. Uchybił jednym słowem należnym...

SZLACHCIC 4.

Ja wam coś lepszego opowiem. Znacie wszyscy
tę ładną i bogatą wdówkę, co wychodzi teraz...

SZLACHCIC 2.

Giuliettę Bottore?

SZLACHCIC 4.

Otóż kochała się ona potrosze przed rokiem
w tym blaźnie, który wówczas nawet kopistą nadwor-
nym jeszcze nie był. Już dzień ślubu był naznaczony,
kiedy zdradziła się razu pewnego z rozumieniem, że
robi mu zaszczyt swoją osobą, fortuną i stosunkami:
wyszedł nie pożegnawszy się i odtąd ani ją zna.

SZLACHCIC 8.

Pyszna to kobiecina! Powiada, że ze wszystkich ludzi na świecie największą wdzięczność czuje dla niego za to właśnie, że jej przeszkodził zrobić największe głupstwo w życiu.

HERMAN v. HOCHBERG (wchodzi, a potrąciwszy po drodze dwóch wychodzących mieszczan, zbliża się do stołu cudzoziemców i uderza po nim pięścią).

Hej!

PACHOŁKÓW DWÓCH (podbiegając razem)

Co rozkaże wasza miłość?

HOCHBERG.

Wina cypryjskiego dziesięć odrazu i jeść co, a duchem, bałwany, bo... (znów pięścią w stół uderza).

SZLACHCIC 6 (wskazując witającego się z towarzyszami stołu Hochberga).

Patrzcie, to ów potwór niemiecki, co zabił już w Molenie kilkudziesięciu ludzi.

SZLACHCIC 4.

Ten ogromny bydlak?

SZLACHCIC 1.

Ciszej, bo usłyszysz.

NIEMIEC.

Prawdaż to, Hermanie, że uciekacie z Moleny?

HOCHBERG (pijąc)

Niech dyabli porwą ten kraj przeklęty: znowu mnie okradli.

FLAMAND.

Gdzież niema złodziei?

HOCHBERG.

Ale kto tu jest prócz nich?

SZLACHCIC 4 (półgłosem)

Ten pies na nas szczeka.

SZLACHCIC 7 (chwytając go za ramię)

Ciszej!

SZLACHCIC 2 (też półgłosem)

Niewartoż mu żelazem gardła zatkać?

SZLACHCIC 7 (jak wprzód)

Ciszej! ciszej!

SZLACHCIC 1.

Idź, spróbuj! To zwierzę łamie podkowy w ręku i wszelką bronią robi jak...

HISZPAN (przy 4-ym stole)

Ja bo lubię ten kraj.

HOCHBERG.

Lubiłbym go też, gdybym był dzumą.

SZLACHCIC 2 (półgłosem)

Dalibóg, szpady do garści i kupą na tego lajdaka.

SZLACHCIC 7.

Ależ ciszej, ciszej! Jeszcze usłyszy. Teraz cudzoziemców zaczepiać niewolno.

SZLACHCIC 3 (do 2-go)

Onby sam jeden setkę takich, jak ty, wytłukł do nogi, a tam ich tyłu.

SZLACHCIC 2.

Słuchajcie, pójdziem za nim wszyscy razem i w jakim zaułku ciemnym...

HOCHBERG.

Kraj żebraków, oszustów, złodziei, uliczników
i robactwa.

SZLACHCIC 2.

I te podle chamy: tak blisko, a żaden go w lebekubkiem nie trzaśnie.

FLAMAND (do Hochberga)

Mówilibyście ciszej.

HOCHBERG.

Herman von Hochberg miałby się bać? I kogo? Alboż mnie tu nie znają? Robactwo plugawe tylko w mroku i ciszy nocnej ma odwagę kąsać. Bardzobym chciał, dla równego rachunku..

NIEMIEC.

W każdym razie...

HOCHBERG.

W każdym razie ani jednej figi więcejbym tu nie żądał, ani jednej butelki wina, ale to nie zatrute chyba jeszcze, o świcie zaś jadę. Ale żeby tu... (waży pićś)

CARRARO (zbliżywszy się, uderza go po ramieniu)

Hej, rycerzu niemiecki, cóż tak urągacie Italii przy chlebie i winie italskiem?

HOCHBERG (mierząc go zdziwionym wzrokiem)

Za złoto niemieckie dostanę tu w każdym domu żonę i córkę italską. Ale cóżeście to za jeden, że mnie pytacie, i gdzie was skóra świerzbi?

CARRARO.

Odpowiadam, gdy wołają: „hrabio du Lieu“, chciałem zaś wam powiedzieć, że największym łgarzem i fanfaronem, jakiego znałem w życiu, jest Niemiec, taki duży, jak wy.

HOCHBERG (podnosząc się)

Patrzcie, panowie! Możnaż chcieć gwałtem leżeć w tej podłej ziemi? Pysznie się składa: jednego mi właśnie brakło tu do tuzina, że zaś jadę jutro o świcie, traciłem już nadzieję. Powiedzcie mi tylko, śmiertelny rycerzu francuski, czego się wtrącacie, skoro tylu krajowców milczy?

CARRARO.

Je się, jakaś prababka moja była Włoszką,

pewno więc krew włoska, ten najdroższy płyn mego serca, zakipiała we wnie.

HOCHBERG.

Wytoczmy ci ten płyn drogi przed zachodem jeszcze. (Spojrzawszy na słońce) Mamy z kwadrans.

CARRARO (uderzając po rękojeści szpady)

Jestem gotów. (Obejrzawszy się) DOWMUNT!

DOWMUNT.

Jestem przy tobie.

HOCHBERG (do Carrara)

Mogę cię i na taki rożen nadzieć, choć milszyby mi był nasz uczciwy rapier niemiecki.

CARRARO (do Niemców)

Panowie, który z was rapiera mi pożyczy? (Wybiera na chybił trafił) Dziękuję.

HOCHBERG.

A więc do roboty, bo słońce siada. Tędy do ogrodu.

CARRARO.

Chwileczkę! (Cicho do Dowmunta) Jeżeli zginę, powiedz pannie Cesi, towarzyszce księżniczki—zapisz się tu ochotnikiem — że o niej ostatnia myśl moja i prosz... Nie, to daremne, ona nie zapomni. A powiedz też głośno, kim jestem, żeby wstydu Włochom oszczędzić. Ze cztery lata rapiera takiego w ręce nie miałem.

HOCHBERG (do Dowmunta)

Toś waść ksiądz, że się wam skazaniec spowiada. Szkoda! Myślałem, że przed zachodem jeszcze się i z przyjacielem jego zabawię. Niechby tam już i dyabelski był tuzin.

DOWMUNT.

Jeśli was dyabeł przed zachodem do innego tuzina swego nie weźmie, — służę. (Wychodzą, za nimi wszyscy).

A k t III.

Scena I.

Sala na zamku obok balowej.

BIANCA i LUCIA (wchodzą).

BIANCA.

Lucio! Będę się bawiła rozkosznie! (Zagląda do sali balowej). Jak cudnie wygląda ta sala!

LUCIA (też zagląda).

Cudnie, szczególnie w oczach miłości. Ciekawam szalenie miny pięknego nieznajomego, kiedy się dowie, żeś tak z niego zażartowała. Ręczę, że z tego się tak cieszysz.

BIANCA.

Może. Ale jak się cieszył! Powiedz sama: on będzie chyba rad? Dopóki jeszcze mógł myśleć, że księżniczka byłaby nie dla niego... Ale teraz wie, że na ziemi nic już nas rozłączyć nie może, że córka wielkiego mogła czy pasterza — jednakō byłabym jego.

LUCIA.

A bądź co bądź, jeżeli już nawet wybił sobie posag z głowy, przyjemniej mu będzie posiadać córę księcia udzielnego, niż zwykłą dziewczynę, tembardziej, że gdzieś tam w głębi duszy zostanie mu zawsze nadzieja przebaczenia ojcowskiego, lub...

BIANCA (żywo).

Coś ty chciała powiedzieć? Nie znasz go To rycerz bez strachu i zarzutu. Potrafiłby on może zabić otwarcie, ale takie rachuby!.. Nie, nie! Uczuje tylko, czem jest dla mnie, i będzie szczęśliwy: ta, która mięłzy najwyższymi wybierać mogła, jego wybrała.

LUCIA.

Uciekajmy. Zaczynają się zjeżdżać. Przecie ostatnia masz się ukazać. (Wychodzą)

(Wchodzi grupa osób. Potem di Massa, Carraro, księżęta, księżniczka, Lucia i damy, Sera, Celli, Leschi, Pereto, Lapi, służba itd).

SZLACHCIC 1.

Czy aby jest co pewnego w tych plotkach?

SZLACHCIC 2.

Plotkach? Ależ to pewne, jak amen w pacierzu. Książę Sarmy żąda przywrócenia do dóbr, cześci i łask tego... no!... Będzie nareszcie rozrywka.

SZLACHCIC 3.

Ładna mi rozrywka.

SZLACHCIC 2.

Są tacy, dla których niema — jak kości, wino i dziewczęta.

SZLACHCIC 4.

Czego nasz Antonio nie znosi...

SZLACHCIC 2.

Nie mówię tego...

SZLACHCIC 1.

To szczęście: uniknąłeś jednego więcej grzechu śmiertelnego, a jeśli łaska Boża i nadal będzie z tobą, unikniesz też grzechu zabójstwa na wojnie.

SZLACHCIC 2.

Lada dzień ją ogłoszą. Podobno ostatni list księcia Sarmy taki był grubiański...

SZLACHCIC 5.

Co też ty pleciesz! Myślisz, że panujący — to żołdacy pijani?

SZLACHCIC 2.

Po cóż zaraz brać dosłownie.

SZLACHCIC 6.

Bierz przeciwsłownie.

SZLACHCIC 2.

Gadajcie, co chcecie, a co prawda, to prawda. I chwała Bogu, bo już nuda w tej Molenie była okrutna: o pojedynek nawet trudno.

SZLACHCIC 1.

Słuchając tego Antonia, możnaby pomyśleć, że to jakiś straszny ludożerca.

SZLACHCIC 7 (wskazując wchodzących).

Szał! Cudzoziemcy!

SZLACHCIC 5.

Dwór im teraz ogromnie nadskakuje.

SZLACHCIC 3.

Naturalnie: ochotnicy potrzebni. Takie włóczęgi, to bogate najczęściej chłopcy, szukające tylko awantur po świecie.

SZLACHCIC 1.

Oto ich masz, Antonio. Z tymi o pojedynek nie-trudno. Jeżeli tylko bierze cię chętka dostania się na rożen, wybieraj...

(Wchodzi di Massa).

SZLACHCIC 2.

Ach, przepraszam was, muszę się przywitać z przyjacielem swoim, hrabią di Massa. (Odchodzi).

SZLACHCIC 1.

Di Massa? No Madonę i Bachusa — on sam. Teraz wierzę, że będzie wojna.

SZLACHCIC 3.

Racya. Toć od tego wypad... od lat siedmiu czy ośmiu ściagała go niełaska dworu za stosunki z tym... no...

SZLACHCIC 6.

Patrzcie, jak skacze koło niego nasz Antonio, a ten—jak chart na kundysa spogląda.

(Wchodzą Carraro i Dowmunt).

SZLACHCIC 8 (wskazuje Carrara).

A tam kto? Taki wspaniały! Jakiś wielki pan..

KILKA GŁOSÓW (naraz).

Nie wiesz?... Jakto?... Ten?... To on!... Du Lieul.. Zkąd przybywasz?

SZLACHCIC 1.

Toć to Francuz, o którym trąbi cała Molena.

SZLACHCIC 8.

Zabójca tego potwora niemieckiego?

SZLACHCIC 4.

On sam. Hrabia du Lieu.

SZLACHCIC 8.

On? Prawda, że wygląda na swoje imię, choć myślałem, że to jakiś Antinous nie Herkules.

SZLACHCIC 1 (do 2-go).

A co będzie, Antonio, jak twoja Diana obaczy tego bohatera? To gorzej, niż z Braninim.

SZLACHCIC 8.

Antonio ofiaruje obecnie bogini czystości?

SZLACHCIC 6.

Jego bóstwo jest nieskończenie wyższe nad imienniczkę swą z Olimpu.

SZLACHCIC 7.

Dlaczego?

SZLACHCIC 6.

Nie szczuje bowiem Akteonów, Endymionów zaś budzi.

DI MASSA (zbliżając się do Carrara, cicho)

Trzymajcie, hrabio du Lieu, serce na uwięzi, bo lada chwila księżniczka się zjawi. (Wskazuje wcho-

dzącego księcia Ferraty) Oto jej narzeczony, ale niedoczekanie jego. Musicie ją sobie wziąć, (ciszej) bo byście potem mieli nad sobą miecz damoklesowy wiecznych pretensyi Ferraty.

CARRARO.

Drwię z tego. Pretensye zawsze na słabych szczekają i szarpią, a przed silnymi warują. Niech ją bierze ten błazen, lub wiesz co? tobie ją dam. Świątynia mego serca i tron Moleny mają już swoją władczynię.

DI MASSA.

Trzymam waszą książkę — a mość za słowo. Sądząc z portretu — cud to piękności boskiej. Ale zwracamy na siebie uwagę. (Odchodzi).

SZLACHCIC 9. (podbiegając).

Patrzcie, to ten hrabia francuski, co to...

SZLACHCIC 1.

Patrzymy, wiemy, widzieliśmy...

SZLACHCIC 9.

Co? Możecie byli przy tem? Opowiedzcie, zli-

tujcie się, bo już na tysiąc sposobów... Sz sz-sz!
Książę! (Wszyscy witają wchodzącego w gronie panów
ukłonem głębokim)

SZLACHCIC 1.

Prosto do hrabiego di Massa. Rękę mu ściska!
Wojna, jak dwa a dwa...

SZLACHCIC 5.

Cicho!

KSIĄŻĘ (do hr. di Massa. Dolatują wyrazy oderwane).

Mój ojciec niezapomniany i ja... Dawna przy-
jaźń dla domu waszego... Hrabio... Stosunki przy-
jazne... Zakwitnie znów... (Odchodzi ku Carrarowi).

SZLACHCIC 1.

I temu rękę ściska.

SZLACHCIC 2.

Alboż nie wiecie? Książę nie posiadał się z ra-
dości, kiedy mu opowiedziano o tych dwóch półgło-
wach niemieckich, co od ciosu francuskiego aż na ra-
miona popadały. Jeździł sam oglądać.

SZLACHCIC 3.

Na Bachusa! ktoby nie wiedział, który książę, mógłby się pomylić.

SZLACHCIC 1.

Dumna to musi być sztuka. (Książę wychodzi na prawo; Carraro na lewo).

SZLACHCIC 2.

Chodźmy za nim. Muszę się poznać...

SZLACHCIC 7.

Stójcie! Księżniczka!.. Narzeczony!...
(Do wchodzącej w orszaku dam, obok księcia, księżniczki, którą obecni witają głębokimi ukłonami, zbliża się książę Ferraty).

KSIĄŻE FERRATY.

Nareszcie się słońce w orszaku gwiazd ukazało

BIANCA.

Zły z was astrolog, kuzynie: niebo nie zna takiego zjawiska.

KSIĄŻE FERRATY.

Ale na zamku, któremu panuje różdżczka takiej wieszczki, wszystkie cuda są możliwe.

KSIAŻE MOLENY.

Ustępuję wam, kuzynie, miejsca przy swojej córce, pozostawiając was wspólnym badaniom astrologicznym. (Odechodzi).

KSIAŻE FERRATY.

Kuzynko, zechciej więc zacząć badanie od mego serca?

BIANCA.

Nie wątpię, że to też gwiazda i ciekawa, zostawmy ją jednak na przekąskę.

KSIAŻE FERRATY.

Takież to instynkta krwiożercze w tak cudownych usteczkach i ząbkach?

KSIAŻE (wracając z Carrarem).

Córka moja umiera z ciekawości, tak pragnie poznać pogromcę smoka niemieckiego i, gdyby nie dziewicza nieśmiałość i wrodzony strach krwi, zaudziłaby mnie pewno prośbami pokazania jej was. Bianco, oto hrabia Jean du Lieu. (Bianca mimowoli się cofa, stając obok Lucii. Carraro składa ukłon ceremonialny Lucii). Cóż to hrabio? Za mego ptaka królewskiego bierzesz tę srokę?

BIANCA (obejmując ręką jej kibić).
Moją najdroższą, najśliczniejszą sroczkę.

KSIAŻE.

Tybyś się tak nie pomylił, kuzynie, nieprawdaż?

KSIAŻE FERRATY.

Jak księżycyca nie wzięłbym za słońce.

CARRARO (Brwi mu się groźnie ściągają, mieni się, wreszcie opanowawszy się).

Od majestatu piękności słonecznej odwracają się mimowoli oczy olśnione, ż by nie ośleply. Trzeba je powoli przyzwyczajać do spoglądania—choćaby zukosa.

KSIAŻE.

Brawo! Dowcipem francuskim szermujecie, hrabio, nie gorzej, niż rapierem niemieckim. (Do stojącego opodal, zapatrzonogo w Biankę). Hrabio di Massa! (Do Bianki) Ten nie oślepl, ale ogłuchł (Do hr. di Massa, który obudzony przez kilka osób naraz, zbliża się z ukłonem). Chodźcie, hrabio, niech was poznam ze źrenicą swego oka, panią pana... Bianco, przyjm do łask swoich starego druha naszego domu: był nim jeszcze w osobach dziada i pradziada. Lecz wy się znacie!

DI MASSA.

Jeżeli można znać kwiat cudny z czarującego pąka,—znam jej wysokość.

KSIĄŻE.

(Z sali w głębi daje się słyszeć muzyka).

Panowie, nie psujcie mi córki! Będę jej musiał, prowadząc między was, uszy woskiem zalepić, bo gotowa sobie wyobrazić wareszcie, że nie jest brzydka. (Podnosząc głos, do wszystkich). Do sali balowej, panowie! tańczcie, pijcie wino i mówcie damom o miłości. (Gwar i rumor. Mężczyźni zbliżają się do dam. Bianka odchodzi, wsparta na ręce pochylającego się ku niej z galanterią poufałą księcia Ferraty. Carraro robi kilka kroków za nimi i zatrzymuje się przy drzwiach w głębi sceny).

SERA (zbliża się doń w ukłonach. Dolatują słowa).

Wasza miłość... Taka postać... (Carraro, nie słysząc, wchodzi na salę).

SERA (do wchodzącego z prawej strony margrabiego Pereto, któremu towarzyszy Lapi, zbliża się w ukłonach. Dolatują wyrazy).

Byłbym w rozpaczy... Dostojny panie... (Idą ku przodowi sceny). Jedno posiedzenie, króciuchne po-

siedzenie. Bartolomeo Sera pracuje szybko, jak nikt w Italii. Taka twarz wspaniała, jak waszej dostojności...

PERETO.

Zobaczmy, zobaczmy.

SZLACHCIC 1 (wchodząc z grupą towarzyszy).

A toż co za figura?

SZLACHCIC 2.

Nie tak niedbale, mój kochany. To magnat szalony, największy na świecie znawca sztuki, przyjaciel Papieża.

SZLACHCIC 3.

A, ten Neapolitańczyk sławny.

PERETO (Wskazując obraz).

Nabyłem oryginał tego Perugina. Czyja to kopia?

LAPI (do Sery).

Zda'ę się kopisty naszego nadwornego, nieprawdaż?

SERA.

Tak, wasza dostojność. (Do Pereta). A tam sławny mój — śmiem powiedzieć — Sąd Salomona.

PERETO (spojrzawszy na obraz wskazany, znów o kopii)

Nie powiem, żeby ta kopia była zupełnie wierną, jest w niej jednak coś... Wasz Sąd Salomona, mistrzu, zasługuje oczywiście na swoją sławę.

SERA.

Uznanie waszej dostojności jest dla mnie szczytem nagrody, świat bowiem cały...

PERETO (przerywając)

Wcale niezła. Potrzebuję właśnie kopii kilku obrazów tutejszych...

SERA.

Dla waszej dostojności sam z rozkoszą się podejmę.

PERETO.

Skorzystam też zapewne i z waszych usług. Przedewszystkiem zaś oddacie mi pierwszą, towarzysząc do pracowni tego... tego... (Wskazuje ową kopię).

LAPI.

Rosetta, jeśli się nie mylę, Rosella... (Do Sery Jakże?

SERA (do Pereta)

Szkoda drogiego czasu waszej dostojności: kilka kopii pozaczynanych—to całe bogactwo dziury, którą łaska waszej dostojności zwie pracownią na niewidziane. Nikt jej chyba nie zna lepiej odemnie. Uczeń to mój, do którego ze wstydem się przyznaję. O żadnym obrazie jego z własnej głowy nigdy nie słyszałem nawet, przedemnąby się zaś pierwszym chyba pochwalił.

PERETO.

Widzicie, mistrzu. mam zwyczaj zwiędzać wszędzie wszystkie pracownie malarzy i rzeźbiarzy — od najślawniejszych do najmniej znanych, a za parę dni dopiero wyjeżdżam do Rzymu. Nie macie pojęcia, ile pereł zdarzało mi się wyławiać w najmarniejszych dziurach, jak powiadacie. (Odchodzi)

SERA (idąc za nim obok Lapięgo)

Zapewne, cenię jednak tak wysoko fatygę waszej osoby dostojnej... (Reszta wyrazów ginie).

SZLACHCIC 1.

Rosellego pracownię chce zwiedzić: dotychczas tylko szczury w niej mecenasowały.

SZLACHCIC 9.

Rosellego? tego błazna, co ma się za malarza bo mu pozwalają obrazy mistrzów z kurzu ocierać?

SZLACHCIC 3 (do zbliżającego się Sery).

Mistrzu, czemuż ukochanego ucznia waszego Mattei, tu niema?

SERA.

Niebawem wcale go tu nie będzie, ani na sali ani nawet w przedpokoju.

SZLACHCIC 2 (podchodząc).

Kogo?

SZLACHCIC 1 (4-y podchodzi).

Roselli ma otrzymać dymisyę z wysokiego dostojństwa kopisty nadwornego jego wysokości.

SZLACHCIC 2.

I świat się nie zawali? w niebie się dziura nie zrobi?

SZLACHCIC 4.

Zkądże ta wieść przerażająca?

SZLACHCIC 3 (wskazując odchodzącego Sere).

Oto źródło prawdy — przemijające.

SZLACHCIC 5.

Słuchajcie! Chodźmy się czego napić!

GŁOSY.

Pyszna myśl!... Racyal... Warto powtórzyć!..
Ale tam tańczą... Po szklance! (Wychodzą).

BIANCA (wbiegając, do zadumanego Carrara).

Nad czem tak się zamyślił hrabia Jean du Lieu? (Ogląda się). Nie śmiałam was pytać o imię, żebyście mnie o moje nie pytali. Jak ono ładnie brzmi w języku tej z prababek waszych, której ów nieszczęsny Niemiec zgon zawdzięcza. Giovanni! Pozwolicie, że zawsze tak będę was zwała? Czemu patrzycie tak ponuro? (obejrawszy się znów, zagląda mu w oczy spuszczone i głosem przenikającym). Nie kochasz mnie, Giovanni?

CARRARO.

Pani... Wasza wysokość!...

BIANCA (znowu się oglądając).

Nikt nie usłyszy. Powiedz: Bianco! Przestamtamże być białą gołąbką twoją, Giovanni?

CARRARO.

Bianco!

BIANCA.

Jak jęk. Aj, rycerzu mój wielki! Gotowicie mi się tu jeszcze rozplakać.

CARRARO.

Pocoście mnie zwiedli, o pani?

BIANCA.

Myślałam, żeście dobrzy i warci niespodzianki. Pamiętajcie, żeście obiecali kochać mnie w najgorszym nawet razie, choćbym nawet była córą cesarską, a jestem przecie córką równego może królom, ale księcia tylko.

CARRARO.

Taki żart okrutny!... O mój Boże!

BIANCA.

Zkądże ta rozpacz? Chcecie mnie zmartwić?

A tak mi dziś było wesoło, jak nigdy. Ach, proszę, bądźcie szczęśliwi. O mój Giovanni! (Ogląda się) powiedz: kocham cię, Bianco!

CARRARO.

Kocham cię, Bianco.

BIANCA.

Jak echo! Ani dźwięku od siebie?

CARRARO (z wyrazem męki na twarzy).

Co robić, co robić?! Zadusić tego chłystka książęcego i... i...

BIANCA (wesolo).

Tak? Więc to zazdrość kęsa mego władcę i pana? Zdążyli ci już powiedzieć... Rozjaśnijże czoło, Giovanni! Prędzej umrę tysiąc razy, niż wyjdę za niego. Czyżbyście mnie nie wierzyli? (Ogląda się na odgłos kroków i głosów grupy wchodzących i, smutniejąc i bladnąc, szybko z tłumioną namiętnością) Chcecie? Ot tu na tej sali padnę wam do nóg, ja, Bianca z Moleny, i, objąwszy wasze kolana, krzykiem wezwę Madonę na świadka, że was kocham.

CARRARO.

Bianko moja!... Wierzę... Kocham.

BIANCA.

Wierzysz? Kochasz? Naprawdę? Znowu mój dawny! (Szybko) Jutro! nie—pojutrze.

KSIĄŻE FERRATY (podbiegając).

Gdzież się kryjesz, kuzynko? Znikasz—niepomyślna, że śmiercią mi twa nieobecność.

BIANCA (z ukłonem).

Bo twoja życiem mi jest, kuzynie! (Odechodzi w głąb, wzrokiem żegnając Carrara. Książę Ferraty przeprowadza ją wzrokiem osłupienia. Wchodzi nowa grupa osób. Słychać głuszone przez gwar i muzykę wyrazy:)

Wyobraź sobie .. Jesteś zakochany? Co za wino!.. Antonio... Nie podobnie cudnego!... Księżniczka... Zaćmił wszystko... Prawda... A jaki wdzięk... A ta, ta z oczyma zielonemi...

SZLACHCIC 3 (wskazując Carrara).

Naszemu Francuzowi poprostu ogień z oczu tryska.

SZLACHCIC 4.

Piękny smok.

SZLACHCIC 5.

Jedna głowa — ale dobra. (Carraro odchodzi w głąb)

SZLACHCIC 1.

Oho, już się go nasz mistrz uczeplił.

SZLACHCIC 5.

Zdaje się po raz już wtóry tego wieczora.

SZLACHCIC 3.

Cóż chcesz? Człowiek, z którym rozmawiali łaskawie książę i księżniczka, wart jest portretu jego pendzla.

SERA (w ukłonach do Carrara. Dolatują wyrazy).

Twarz św. Jerzego... Taka postać... Wasza miłość... Jedno króciuchne... Archanioł Michał... W całej Italii nikt...

SZLACHCIC 2 (do towarzyszy).

Coś go Francuz opryskliwie zbywa

SZLACHCIC 6.

Muzyka znowu gra do tańca: żwawo panowie!
Do roboty! (Wychodzą).

LODOVICO LESCHI (wchodząc z Lucią).

I będziecie mnie kochali bezgranicznie, wiernie i stale?

LUCIA.

Pytajcie o to cyganek, bo ja wróżyć nie umiem.

LESCHI.

Piękna odpowiedź człowiekowi, któryby chciał, byście go kochali więcej, niż wszystkich na świecie.

LUCIA.

Jakże mam kochać tych wszystkich?

LESCHI.

Jak każe przyzwoitość.

LUCIA.

Niestala to pani, której zachcenia zmieni przestąpienie progu lub zdmuchnięcie lampy. Gdybym miała męża tak zmiennego, przerobiłabym piosnkę króla Franciszka.

LESCHI.

Kochajcie więc bliźnich swych tak, jak każe religia.

LUCIA.

Kogoż za bliźniego mam uważać?

LESCHI.

Oceńcie cnotę moją: nawet na balach katechizmu uczę. Bliżnim jest każdy człowiek.

LUCIA.

Mamże męża mieć też za człowieka?

LESCHI.

Naturalnie. Cóż za pytanie.

LUCIA.

Niewolno mi więc będzie czynić różnicy między nim a każdym innym mężczyzną?

LESCHI.

Chęci nasze przeciw nam się zwracają. Kochajcie mnie więc jak umiecie i chcecie.

LUCIA (z ukłonem).

Rozkaz wasz—jest mi prawem. (Odechodzi)

LESCHI.

Już chcecie uciec odemnie?

LUCIA.

Miłość zaś wasza za mdła jest, by mnie gonić chociażby do drugiego pokoju.

LESCHI (idąc za nią).

Żywicie ją lichy, samemi ostami, goniłaby was jednak choćby do brzegów Lety.

LUCIA (zatrzymując się i zwracając do niego).

Znaleźlibyście Letę w szklance wina, gdyby mię nietylko Charon na pola Elizejskie, lecz pani moja — do Ferraty chociażby zabrała.

LESCHI.

Pocóżbyście mieli do Ferraty jechać? Cóżbym zrobił z domem i ziemią? Zresztą wziąłbym to za dowód, że więcej cenicie księżniczkę, niż mnie.

LUCIA.

Czyż wątpiliście dotychczas o moim rozumie?

LESCHI.

Jakto?

LUCIA.

Takich, jak wy, znajdę wszędzie na tuziny, księżniczka zaś taka—jedna na świecie.

LESCHI.

Ależ nikt w świecie nie potrafiłby wam dać tyle miłości, co ja!

LUCIA.

Mogłoby się złożyć kilku.

LESCHI.

Och, gdybyśmy się całe życie mieli klucz tylko językami, byłbym zawsze ja kluty i wy górą. Na złość pojedę za wami choćby do Ferraty.

LUCIA.

A do Francyi — to już nie? (Idzie znów)

LESCHI (idąc za nią).

Raz się ruszywszy z Moleny — choć do Indyi Wschodnich. Wolałbym nawet, niż do Ferraty, bo nie znając języka, nie bałamucilibyście chłopców tamtejszych.

LUCIA.

Może kochać po indyjsku łatwiej jest, niż mówić. (Wychodzą)

KSIAŻE (wchodząc, do Lapięgo)

Wesół był przecie, jak młody psiak: chciał się zagłuszyć niby: *Zobacz* mi kto w łeb strzelił, nie zrozumie, co go za mucha raptem ugryzła. „Przepraszam, kuzynie, ale głowa... serce... niepokój o drogą

matkę“... Niech dyabli porwą tę małpę. Domyślasz się?

LAPI.

Domyśleć się byłoby trudno, ale wiem.

KSIĄŻE.

Czemuż więc milczysz? Gadajże do licha!

LAPI.

Wierny sekretarz księcia Ferraty doręczył mi przed chwilą kopię dziś wieczorem otrzymanego listu ojca do syna.

KSIĄŻE.

No? no?!

LAPI.

Jego wysokość...

KSIĄŻE (niecierpliwie).

Do dyabła z tytułami: gadaj prędzej.

LAPI.

Książę Ferraty donosi synowi szczegółowo o naszych kłopotach, dzieli się złemi przecuciami i nakazuje sprawę starania się o rękę księżniczki naszej puścić w odwłokę.

KSIĄŻE.

Domyślałem się jakiegoś galgaństwa w tych bzdurstwach sentymentalnych.

LAPI.

Zdrowa księżna matka leży gwoli polityce w łóżku...

KSIĄŻE

Ach, żebym był wiedział wcześniej, przeczuł...

LAPI.

List ów zapowiada też bliską wiadomość o pogorszeniu wraz z rozkazem niezwłocznego powrotu.

KSIĄŻE.

Na sakrament, źle widać z nami. A ten błazen zdawał mi się zakochanym.

LAPI.

Według słów sekretarza zmartwił się tym obrotem sprawy i wzdychał, czy nawet płakał.

KSIĄŻE.

Ale do głowy nie przyszło jedynaczkowi sprzeciwić się. Mazgaj! Pał go licho. Robiłem, co mogłem, ale znam starego lisa i niewiele nań rachowałem. Boli mię tylko to upokorzenie. (Wskazuje w sali

balowej przez drzwi Carrara i Biankę) Patrz, jak ta mała bałamuci Francuza. To polityk - dziewczyna. Jakby wiedziała, że ta bestya dyabło mi się może przydać. Ach, na milion dyabłów! Dałbym pomimo swojej biedy tysiąc dukatów za to, żebym się był domyślił i sam dał odprawę tej la!ce bezmyślnej z Ferraty.

LAPI.

Jej wysokość zato i w tem złożyła dowód zmysłu politycznego, jak to zwać raczy wasza wysokość, jakby bowiem przeczuła inny wiatr z Ferraty.

KSIĄŻE

Jakto? O Biance mówisz?

LAPI.

Przed godziną przechodząc z Coma lin, słyszałem, jak mówiła do tego księcia, że żyje tylko jego nieobecnością.

KSIĄŻE.

Co? Ta blaźnica mu to powiedziała? Niechże ją wszyscy dyabli!... Co on jej mógł takiego zrobić? Moja krew! moja krew! A takie to niby ciche, takie potulne, takie anielskie.. (Nagle, uderzając go po ramieniu). A ty chytrusie stary! Jeszcze mi będziesz

minę zdziwioną robił? I ty, dziadziu, kochasz się w tej czarodziejce. Od czego zaczął! Gdyby mi kto szepnął był o tem wprzód, wściekłbym się był chyba.

LAPI.

Prosiłem Comarliego, żeby zaczekał.

KSIĄŻĘ.

Grasz na mnie, jak na organach. Dlatego to biedactwo tak błagalnie mi w oczy patrzy. A żeby ją krajać na kawałki tępym nożem, nie ustąpiłaby: moja krew! Jak z tym pacholkiem stajennym. Nikt mi chyba nie zarzuci braku grozy, a takim ją wtedy ofuknął za to głupie wstawiennictwo. Najśmielsza uciekłaby z płaczem, a ta... przy całym dworze... Cóż było robić? Kopnąć czepiające się uóg stworzenie uparte? Myślałem, że oszaleję z wściekłości, ale musiałem... Ile razy spojrzę na to bydlę, co mi najlepszego konia zmarnowało, dyabli mnie biorą. Dałbym rok życia, żeby go zobaczyć w krawacie z powroza, ale się boję. Wciąż się o niego dowiadyuje, chodzi konie oglądać i gotowaby się sama powiesić, gdybym... I muszę cierpieć... na własnym zamku... Ale pójdę uścisnąć tego dyabła anielskiego, czy anioła dyabelskiego: ocaliła naszą godność. (Idzie w głąb)

LAPI (idąc za nim).

A szkody żadnej, jeżeli bowiem wygramy, wróci to książętko ślamazarne z lepszymi dla nas warunkami, w każdym zaś razie znana ostrożność powstrzymałaby jego wysokość księcia Ferraty od oświadczenia się wyraźnego za którąśkolwiek ze stron. (Wychodzą)

DOWMUNT (wchodzi z Carrarem; wskazując przesuwaną się Biankę).

Więc to jest siostra tego zabitego przez ciebie księcia? czegośes się zachnął? Jesteś cały wieczór taki nieswój. Niema tu twojej niebogi?

CARRARO.

Ach, jest, jest!

DOWMUNT.

Cóż tak smutno? Czy innemu w oczy zagląda?

CARRARO (szepem załamując ręce)

To ona.. księżniczka sama...

DOWMUNT.

O-o-o! (Po chwili) Cóż się masz gryźć? Wyrzuć dziewczkę z myśli i basta!

CARRARO (chce odpowiedzieć; ale tylko ze złością machnąwszy ręką, odchodzi).

DI MASSA (zbliżając się doń).

Słuchajcie. Mówiłem z nią. To anioł! Gdybyście panowali nad całym światem, cenniejszego daru za największe nawet usługi... Co za szczęście, że świątynia waszego serca ma już swoją arcykapłankę.

CARRARO (odwraca się gwałtownie i odchodząc w głąb).

Zapewne, zapewne.

DI MASSA (idąc za nim).

Tymczasem wasze słowo będzie mi skarbem najdroższym — na równi z jej spojrzeniem i słowem.

BAPTISTA i VALENTINO (wchodzą).

BAPTISTA.

Odkiedy żyję, nie widziałem tyle hołoty na

zamku. Zbieranina z dróg rozstajnych, jak w piśmie świętem stoi...

VALENTINO.

I czasem byle szlachetka w kaftanie przytartym tak drze przed tobą nosa do góry, tak rozkazuje, jakby miał największe dobra w kraju.

BAPTISTA.

O największych dobrach kraju tu się nie mówi... (Poziwa) A jeden taki golec zje i wypije za pięciu panów prawdziwych. Bo to na Wielkanoc ma gorzej, niż ja w dzień powszedni.

VALENTINO.

Cóż ty, istotnie bezduszna, na balu poziewasz? Niewesoło ci jeszcze tańczą?

BAPTISTA.

Bodajby im dyabli po brzuchach tak tupali, jak oni po tej podłodze. Człowiek harował trzy doby, a tu (poziwa) przespać się nawet nie dadzą.

VALENTINO.

Wcześniej jeszcze przecie.

BAPTISTA.

Jeżeli już człowiek ani w głowie, ani w żołądku pomiarowania czasu nie ma... Patrz, jego wysokość już się przemyka: zakład, że do syna.

VALENTINO.

Co? Miałaby już być północ? A prawda! Może.

BAPTISTA.

Oho, idzie już paczka takich. Uciekajmy, bo to albo się rozbijać będą, albo, co gorzej, gotów który którego z nas zapamiętać i wstydu potem narobić na mieście, witając się, nihy znajomy.

(Zasłona).

S c e n a 2.

Apartament nieboszczyka księcia—syna. Wejście na prawo w głębi. Naprzeciw portret. Tuż przy ścianie w głębi—stół. Na stole dwie lampy i dwa dzbany.

KSIĄŻĘ (sam, do portretu syna, siadając naprzeciw za stołem).

Piłem dużo, ale z tobą jeszcze się napiję. Za stal, co mu wątrobę przewierci! (Pije) Słyszysz? Wojna. No, wiedziałeś przedemną: choć dalej, — do was wieści prędzej dochodzą (Śmieje się i pije). Za truciznę, co mu wnętrzości skręci! (Po chwili) Czemu ona nie chce kląć, jak ja? Jąby Bóg cdrazu usłuchał, a mnie... Szczekam, jak pies ochryply, lat tyle, a on zmywa krew twoją krwią innych i śliną nędznie takich podłych, że go nawet zgnilizną nie obdarzą. Tyle lat darmo rozsyłałem po wszystkich krajach... a on tuż przy mnie łeb smoczy wynurza i po koronę naszą sięga. Dobrze, dobrze! Nieprawdaż, ty się cieszysz? Wiesz, że teraz już się nam nie wymknie.

Dukat na wojsko,—dwa na szpiegów i skrytobójców. Całą nań ich armię nasłałem. Zrobiłem wszystko, jakieś chciał, a jeżeli niedość, to gadaj, czy mrugaj!.. Dość? Rad jesteś? Moja krew płynie w tobie: jaką radością okrutną błyszczą ci oczy! (Z sarkazmem) Płyniel!.. (Po chwili uderza pięścią w stół). Czemu ona nie taka? (Bystro i ciszej). Ale ty się na niej nie mścij! Czego tak patrzysz surowo? (Zrywa się doń i wyciąga ęce). Gdybyś ją tknął, zdechłbym, jak pies, i któżby cię pomścił? On przyszedłby tu panować! W tym pokoju urządziłby sobie przed twojemi oczyma... Ach ach! (Chwyta się za głowę) Od dziecka przebaczać nie umiałeś, ale jej musisz, musisz, bo inaczej... (zaciska pięści i zbliża się. Nagle ogląda się z trwogą). Kto tu? (Głośnie) Kto tu? (Z westchnieniem ulgi) Nikogo! Tak ciemno po tych kątach. (Znowu siada, wpatrując się w portret). Czego patrzysz tak groźnie, pytam. To darmo: od niej ci wara. Ona nie może, nie umie. (Nagle). A może ty na mnie o nią zły? (Niby obojętnie). Toś głupi. Nie wlokłemże do trupa twego tej dzieciny słodkiej? Nie tarzałemże jej we krwi twojej? Nie skatowałem tego anioła królewskiego, jak wyrobnik pijany? Ale ty musisz, musisz... Każę ci, słyszysz? każę przebaczyć! Ona, co cię tak kochała!

Ona, co widziała wszystko!... Zmieszać modlitwę za ciebie z modlitwą za niego, niby wino cypryjskie z kalem!... Ach, to... to... (zapuszcza palce we włosy i nagle) Ale musisz! Może ona tylko błogosławić umie? Może to tak, jak i my, dyabeł wielony, tylko taki z innej służby? My z tobą potrafił nienawidzieć za brak ręki lub oka, lecz jej musimy, mu si-my przebaczyć. (Wesoło, po chwili). Co tam, głupstwo! Obejdziem się i bez niej. Rozumiem przecie, że kiedy ona, dając nam szkę za twoją duszę, daje na drugą za duszę tego zebra parszywego, o którego psy twoje pyski sobie powalały, który mnie nawet wrzaskiem pocieszyć nie mógł, kiedy zeń kat skórę zdierał... Rozumiem, rozumiem wszystko, ale musimy!... Obejdziem się... Ot wypijmy lepiej zdrowie robactwa, co go stooczy! (Pije). Do każdej kropli wina, którą on do ust poniesie, domieszymy jadu, u węzłowią snu jego znajdzie się wierny nam sztylet: pół fortuny za to. Uśmiechuj się synu! Uśmiecha się książę Moleny? Uśmiecha się do swego najwierniejszego poddanego i sługi? Przebacza? (Otrząsa się i przeciera oczy). Co? Zuów to spoirzenie, jak nóż zabójcy? Powiedziałem: darmo! Powiedziałem: nie dam! Powiedziałem: musisz! Powiedziałem: najwierniejszy, ale tu się zbuntuję... No,

dajmy temu pokój: za woń jego trupa! (Pije). Gdybym mógł sam zatopić cienką stal... aż do duszy! I tybyś chciał! O, chciałbyś, znam cię!... I mnie połowa z tobą, a druga też niebawem... Boję się, ale czuję... (Zegar bije). Raz! Schadzka skończona! Ostatni toast: za płomień piekielny, co mu serce ogarnie! (Cofa się ku drzwiom. Nagle się zatrzymuje). Więc przebaczasz jej? Nie? nie?! (Podnosząc głos). Zaklinam cię... O małym głupstwa nie palnął. Jeślibyś pragnął pastwić się nad rżerzącym cielskiem Carla Carrara!... (Wpatruje się błagalnie, potem przykłęka i chylać się). Widzisz, ja cię kocham! Widzisz, służę, jak pies! Widzisz, błagam! Chcesz, ze łzami będę błagał, ze łzami... (Podnosi głowę i z krzykiem). Nie? (Zrywając się). Nie?! A-a-a! (Rzuca się na portret i przebija go. Potem cofa się przerażony, chwając się, szpada z brzękiem wypada mu z dłoni).

(Zastona).

S c e n a 3.

Na zamku. **MATTEA ROSELLI I BIANCA.**

ROSELLI (ruchem niecierpliwym odrzucając paletę i pendzel).

Wciąż tamte rysy. Błyskawica nieustanna. (Siada i opiera głowę na dłoni).

BIANCA.

Ta kopia piękniejsza jest od oryginału.

ROSELLI (zrywa się i składa ukłon głęboki).

BIANCA.

Jesteście kopistą naszym nadwornym?

ROSELLI.

Tak wasza miłość... wysokość...

BIANCA.

Winnam wam dzięki serdeczne za przesłiczną kopię Madony Luina: dla mego to kaprysu jeździłście do Medyolanu.

ROSELLI.

To moje rzemiosło. Gdybym był wiedział, że to dla waszej wysokości...

BIANCA.

Piękniej nie zrobiłby sam Luino.

ROSELLI.

Wyrobnik od kopiowania dziękuje waszej dostoj... waszej wysokości za dobre słowo.

BIANCA (przyglądając się wciąż jego robocie).

Cóż za gorycz! Czyż to nie może być też artystem?

ROSELLI.

Gdybym się przekonał, że los takie mi tylko granice zakreślił...

BIANCA.

Gorące pragnienie przestąpienia ich jest już połową talentu.

ROSELLI.

Z nią tylko jednak...

BIANCA.

Zbytek nieufności do siebie bierzecie może za brak tej drugiej połowy. Świat dla was otworem...

ROSELLI.

Jak dla drzewa ściętego.

BIANCA.

Cóż za mowa ponura. Tak młodzian, wzięwszy do serca chwilowy kaprys kochanki... Nie ściągasz brwi tak rozpacznie, jakbyście byli wrogiem miłości lub jej nie znali.

ROSELLI.

O, znam, znam. Ojciec mój był rzeźbiarzem...

BIANCA.

Wiele słyszałam o nim.

ROSELLI.

Wyrostkiem czternastoletnim wróciłem raz do domu po długiej niebytności. W pracowni stał nowy posąg: anioł z fletem w wyciągniętej ręce. Niby do lotu złożonych skrzydeł nie widać było patrzącemu wprost, a uśmiech taki był boski i kobiecy, taki anielski i miłosny, — żem oszalał. Jak tylko ojciec wychodził, zakradałem się do pracowni. Godziny trawiłem u nóg tej... Nieraz tak długo rękę jej w swojej trzymałem, aż mi się zdawało, że ta dłoń się ożywia i mnie właśnie flet czarodziejski podaje, że te usta mnie żywym uśmiechem witają. Odjeżdżając, jak lód pożegnałem wszystkich, a ze łkaniem

całowałem stopy posągu. Tęskniłem do niej, odmawiałem modlitwy do anioła stróża...

BIANCA (z uśmiechem).

Nawet marmur ożywał dla was, szczęśliwczu.

ROSELLI.

Sprzedano ją. Długo rozpaczalem, — i tak się skończyła moja pierwsza miłość.

BIANCA.

Ale pewno nie ostatnia.

ROSELLI.

O nie. Szalałem dla Madon, dla nocy gwiazdzystych, dla nieskończoności mórz, dla szczytów śnieżnych, dla ksiąg. dla kobiet nawet—aż do gotowości oddania im życia. Pojmuje wasza wysokość: to jak byście chcieli poświęcić wstążkę lub koronkę.

BIANCA.

Cóż za bluźnierstwo.

ROSELLI.

Ale to wszystko nie to... (Spostrzega się). Mówię, jak szaleniec. Wybaczcie mi, wasza wysokość: jakaś gorączka mnie trawi.

BIANCA.

Szczęście musi być losem tego, kto umie tak kochać.

ROSELLI.

Ono — w marzeniu tylko.

BIANCA.

Zapewne, kiedy się marmur kocha.

ROSELLI.

Zawsze. Dusza — i cierpienie: któż je rozłączy? To tak jak boskość i prawda.

BIANCA.

Ach, nie wierzę wam, nie. Można cierpieć, długo cierpieć, ale i szczęście przyjść może — piękniejsze od wymarzonego, a takie rzeczywiste, że wylewa się z serca, jak z czary pełnej, że chciałoby się wszystkim... wszystkim... Ale mnie też gorączka musi trawić. Tylko plotę od rzeczy przytem. Ale czuję, że cierpienie nie jest koniecznością życia.

ROSELLI.

Pewno duszę mam chorą. Nawet miłosne dotknięcie boli mnie, jak potrącenie brutalne, jak opatrunek rany.

BIANCA.

Czy dobrze słyszę?

ROSELLI.

Rzeczywistość zdaje mi się zbyt mocnym zapachem esencji wonnej, co upajając odurza i razi, marzenie zaś — to subtelna woń kwiatu, co pieszcząc upaja.

BIANCA.

Co za myśl!

ROSELLI.

To też może nie waryatem, jeno raną chodzącą zwać mnie należy, co może zresztą na jedno wychodzi. Snać nie dla chaosu marności jestem stworzony. (Po chwili) Tylko marzenie!... W jego tylko krainie mi dobrze. Tam panuję — panowaniem niezemskim. Żyjąc i umierając, w rozkoszy czy męce, w uścisku miłości czy nienawiści — mary me słuchają woli mojej, nie pomyślanej nawet jeszcze, dziwiąc mnie i zachwycając. Tam — cieplarnia, gdzie ogrodnik wszechświata w klimacie swego tchnienia hoduje pierwowzory, których nasienie karłami zaludni ziemię. I tak... jakbym ja w Nim, czy On we mnie. Tylko

marzyć! To też kiedy mi ten raj gaśnie, jestem jak mocarz-wygnaniec w obcym mieście, gdzie nieznanego a zadumanego lada sklepikarz potrąca.

BIANCA (patrzy nań ze zdumieniem).

ROSELLI (wpatrując się w nią).

A jednak... może i prawdą jest, że rzeczywistość może być piękniejszą od bajki nacudniejszej, tak piękną, że się nie wie, czy to sen, czy jawa.

BIANCA (pokrywając wzruszenie tonem żartobliwym).

Zaczynacie się przyznawać. Gdybym miała władzę nad wami...

ROSELLI.

Każcie mi umrzeć, a obaczycie, czy posłucham.

BIANCA.

Nie mówcie o śmierci, bo życie przed wami.

ROSELLI.

Dość obrócić się do niego plecami, żeby zostało za mną.

BIANCA.

Obiecaliście mi być posłusznym: otóż zabraniam wam tak myśleć. Młodość...

ROSELLI.

Rafael w moim wieku olśnił już świat i Italię.

BIANCA.

Żądza sławy — to cecha wielkich.

ROSELLI.

A więc bywam i ja wielki tą żądzą... kiedy się duch mój tak skurczy, że się mieści wygodnie w mojej piersi ludzkiej, kiedy się czuję najędźniejszym z nędznych, kiedybym dostrzegł, że mnie złotogłów zdo-
bi lub mury pałacu, że mię palcem pokazują: „oto on!“
Ale gdy w duszy ogień boski zapłonie tak rozkosznie, że aż nieznośnie, gdy rozsadzająca tę klatkę (kładzie dłonie na piersi) moc wewnętrzna zatka mi uszy, zamknie oczy na wszystko, co jest chlebem i próżnością, kiedy skroś nicość powszedniości odkryją mi się bezmiary — wszechświata czy własnej duszy pełne muzyki niesłyszanej, kiedy błysnie z chaosu postać... i twarz, piękniejsza, niż serce tej nieskończoności, tej muzyki, tego ognia a tak wyraźna, że się aż wpija w moje serce!... Ach, wtedy, wtedy... (Urywa nagle, patrząc dokoła z przestraczem).

BIANCA.

Tak czuć może tylko... tylko...

ROSELLI (panując nad zmieszaniem).

Tylko meteor błędny, co światu nietylko słońcem—kagańcem nawet nie zapłonie.

BIANCA.

Nie wierzę, nie wierzę! Teraz wiem, że te płótna pozakrywane w waszej pracowni, z których się mistrz wasz... (Urywa).

ROSELLI (kończąc).

Wyśmiewa! Niech raduje swoje serce! Ale śmiałżebym wam też kłamać? Niech wszyscy myślą, że tylko rzemieślnik nędzny, lecz wy...

BIANCA.

A wolno mi będzie zobaczyć?

ROSELLI (składając ręce błagalnie).

Jeszcze nie, jeszcze nie!

BIANCA.

Rozumiem: arcydzieło jeszcze nie skończone. (Roselli drgnąwszy, zachmurza się. Bianca bystro). To nie było potrącenie brutalne. Przebaczcie, jeżeli rany dotknęła...

ROSELLI.

Ach!

BIANCA.

Nie żartowałam bynajmniej. Jestem też trochę marzycielką i w oczach waszych i w słowach czuję coś, co mi nigdy uwierzyć nie pozwoli w waszą pospolitość.

ROSELLI.

Przecie wszyscy w nią wierzą. Mattea — to dziwak i głupiec, dzikus zarozumiały. Po raz pierwszy słyszę przypuszczenie, że jestem... że we mnie... To też choćby dlatego, żeby nie zawieść was, pani!..

BIANCA.

Świat pełen niesprawiedliwości, lecz go zdołacie.

ROSELLI.

Cóż mi po nim? Jeżeli dusza moja, rzuciwszy królewskość swą tajemną, pójdzie jak pies przybłąda zaglądać w oczy człowiekowi, skomlać i łaszac się dla ochłapów sławy lub strawy, niech ją kopnie nogą, oduczy. Kiedy Bóg w krzewie ognistym był tylko tu (wskazuje głową) — pragnąłem tworzyć tylko dla siebie

i w sobie, jak On ukryty. Ale serce woła: dla niej! dla niej! Ono wie, że ona sercem serca. I chciałbym dla niej... Niech tylko dla niej, dla Niego i dla mnie odkryją się przepaście cudu... (Załamując ręce) A potem myślę: nic, nic we mnie! Tylko miraże! I serce kona, jak wędrowiec w pustyni.

BIANCA.

Nie, niewolno wam wątpić o sobie. Dla tej ubóstwionej chociażby winniście walczyć i zwyciężyć. O najskrytszy z ludzi. Nikomu ani się śni, że taicie w sercu taką miłość, bobym pewno słyszała...

ROSELLI.

Tysiące drwin płaskich.

BIANCA.

Zapewne, wasz mistrz niebardzo was lubi, ale mówić o was lubi.

ROSELLI.

Któż na Rosellim nie wprawia swego dowcipu, niby psa na rannej zwierzynie.

BIANCA.

Coż to musi być za piękność, co tak świat i ży-

cie przesłania, piękność w aureoli muzyki niebiańskiej i nieskończoności.

ROSELLI.

Takim bezsilny. Tego właśnie odtworzyć nie mogę, choć rysy mam wciąż przed oczyma... jak w tej chwili. Pod pendzlem rodzą się żywe... Ale zawsze nie to. Czuję, że do ust tych śmiałym usta przycisnąć, że brak tej niewidzialnej dla nikogo aureoli... Jakeście to dziwnie powiedzieli. W te rysy zaklinam najpiękniejszą ludzką duszę, ale gdzież boska? boska?!...

BIANCA.

Ileż szczęścia i dumy czuć musi wasza wybranka: gotowam jej zazdrościć.

ROSELLI.

Madona!

BIANCA.

I jacyście wy szczęśliwi w swej dumie i samotności.

ROSELLI.

Ja?

BIANCA.

Geniusz...

ROSELLI.

Geniusz? geniusz?! Nędzne istnienie obdarzonej świadomością kropli. Opadając — rwać się do białego grzbietu fali, a u szczytu być łzą tęsknoty do niedoścignionych gwiazd niebieskich. Kropla, upojona tęczowo promieniem słońca i na powrót do głębi mrocznej skazana.. I kląć swój szal: czując w sobie całą gorycz oceanu, nie oddałbym burz tej otchłani, wszystkim złym wichrom otwartej, za słodkie oko jeziora, okolone gęstemi rzesami drzew, tonące w blaskach spokojnych miesiąca i pieśniach słowiczych.

BIANCA.

Zdaje mi się, że was rozumiem, choć wiem, że mi się tylko zdaje: gdzieżbym mogła w dłonie (gest) morze zmieścić. Mnie też porywa coś czasem ku górze, ale wy jesteście po tamtej stronie granicy, od strony nieba, a ja po tej, od ziemi.

ROSELLI.

Nie, nie. Będąc najwyższą boskością ziemską!... (Spiesznie, żeby sobie nie dać przerwać). Nie umiem wyrazić... Nie mogę znaleźć słów... Bóg, chcąc dla świata być, głosem ludzkim przemawiał, wziął postać czło-

wieka; czemże bowiem byłby inaczej dla myśli i uczuć ludzkich. Bo one nie latają, jeno szczeblują po drabinie Jakubowej. I wszędzie szczeblowanie—ku Bogu, ku szczytom własnego ducha. Szał zmysłów wie-dzie do zachwytu miłości, który o zmysłach zapomina. Tak piękność promienieje boskością, choć nieuchwytną w samych barwach i liniach... Trzeba ją w nie zakląć, nie ująć... I nie mogę tej aureoli... za którą już Bóg... Nie, nie umiem wypowiedzieć, nie umiem...

BIANCA.

W głowie mi się mąci... To porywa, przeraża, zachwyca. Jestem biedna ciemna dziewczyna.

ROSELLI (składając ręce).

Tys istotą nadludzką, o pani!

BIANCA.

Nie i nie chcę. Mówiłam: czasem się rwie gdzieś dusza, ale częściej pragnę być jednym z małych tych... Wolałabym być listkiem palmowym. Pić rosę przeczystą i przeczyste promienie słońca, albo drzeć z rozkoszy w atmosferze przesyconej srebnem światłem miesiąca, i wonią traw i kwiatów, i szeptami sióstr — liści.... Chronić od deszczu ptaszynę zbłą-

kaną, lub od skwaru — jakiego motyla... Do mnie leciałby na wypoczynek rój muszek i byłabym całym światem drobnemu robaczkowi świetlistemu.

ROSELLI.

Ach, mój Boże! ach, mój Boże! Drzewo to byłoby najświętszą ze świątyń. Najmędrsi kapłani ze szmeru tego liścia odgadywaliby wolę Bożą. Ludy by szły...

BIANCA (przerywając).

I wy chcecie mnie psuć komplementami, jak wszyscy?

ROSELLI.

Bóg mi świadkiem, że... że...

BIANCA.

Poprawcie się, i nie mówmy o tem więcej.

ROSELLI.

Nie chciałem wam... t. j. waszej wysokości.. Zapominam wciąż, z kim mówię. Wasza wysokość mi wybaczy. Nie dworakiem jestem lecz prostakiem nie nawykłym do obcowania z takimi osobami... Przepraszam!...

BIANCA.

Błahostka. Ilekroć zapomnicie o mojem dostojenstwie, uczuję radośnie, że w głowie wam płonie krzew Boży, a w sercu (z uśmiechem)— ów wzrok.

ROSELLI (chwilę coś szepcze niezrozumiale drżącymi ustami).

Wasza dobroć... Dobroć waszej wysokości... Nikt mi nigdy... Przebaczcie... Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie wiem, co mówię... Odgaduję... Od kilku dni jakaś gorączka duszę moją trawi... Odgaduję słowo... słowo zaklęcia... Pewno prawda, że m szalony...

BIANCA.

Ta gorączka — to ogień twórczy. Chwila natchnienia — i ci, co was dziś wyśmiewają, jutro hołd wam oddadzą.

ROSELLI.

Co mi po nich. Cierpię, że mam zły instrument, na którym nie mogę wygrać melodyi, co mi piersz rozsadza. Śmiechy i hołdy!...

BIANCA.

Ach, gdybym wiedziała, kto ona! Bądźcie tylko otwarci—raz w życiu!—a może znajdzie się dłoń, co

wam poda flet czarodziejski, i dłoń żywa... Świat was nie obchodzi, ale ona!

ROSELLI.

Ach! ach! Gdyby mi ta dłoń, jak owa kamienna, dała fujarkę pastuszą, góry i lasy szłyby za dźwiękiem mego technienia... gdyby mię moc własnego zachwytu nie zabiła... (Chwyta się nagle za głowę). Co mówisz, szaleńcze? Co myślisz? Przyjdzież Jungfrau do twojej lepianki nędznej?

BIANCA.

Zkądże taka rozpacz?

ROSELLI (z wysiłkiem panując nad sobą).

Wasza wysokość... Wychodząc z koła czarodziejskiego, chwytam latarnię rozumu. Świecę i wzrok wyteżam... I wiem: jam król — tylko obłoku w błękitach, a tu — nawet szlachcicem nie jestem. I wiem: szczyt śnieżny nie dla żebraka sparalizowanego.

BIANCA.

Chcecie? Wyproszę dla was u ojca szlachectwo, choćbym miała na klęczkach...

ROSELLI (przerywając gwałtownie).

Jak za tym pachółkiem stajennym? Te same lzy, przez które wtedy do serca Boga zajrzałem, i teraz w oczach ci błyszczą... Nie chcę nic, nie! Gdzie ja? Co się ze mną dzieje? (W obłędzie). Pieśń już rozwiała tuman złud? Świat obcy stopił się w moim? (Do Bianki) Daj rękę, jak ta... I niech ginie... nawet królestwo moje! Na jedno mgwienie pokochaj mnie... jak ja ciebie... choć jak Madona sierotę. (Chwyta ją za rękę).

BIANCA (szamocząc się).

Puście mnie, puście! Boże!... Powiem ojcu! (Wyrzywa się i ucieka).

ROSELLI. (Wyraz ekstazy namiętnej gasi zdumienie obłądne, potem zaciętość rozpaczna).

Nędznej pijawce italskiej poskarży się na miłość wielkiego geniusza Italiil!...

Scena 4.

Przy altanie.

BIANCA i CARRARO.

BIANCA (wbiega i wita).

Co? Jeszcze mars na czole? A więc stanowczo

różnym bogom teraz ofiarujemy, bo w mojem sercu Amor radosny wszechwładnie panuje.

CARRARO.

Poco mnie było tak zwodzić? Poco było w przed-
dzień jeszcze tego balu sztydzić ze mnie tak okrutnie,
mówiąc: uciekajmy!

BIANCA.

Oby tylko Madona chciała czuwać nad nami
tak, ja pragnę iść za tobą wszędzie na dobrą czy złą
dole, na tułactwo czy na śmierć nawet.

CARRARO.

Naprawdę? Naprawdę?

BIANCA.

Wiem, ojciec chce mnie wydać za panującego,
ale prędzej grób, i gdybyś ty nawet porzucił mnie
dla jakiego tronu...

CARRARO.

Co mówisz!

BIANCA.

...nie poszłabym za twoim przykładem. Nikt
i nie mnie od ciebie nie oderwie. Nie usłuchałabym

ni ojca... (ciszej i wolniej) ni Boga. (Jakby do siebie).
A przecie tak gorąco się modłę...

CARRARO.

Bianko, Bianko!

BIANCA.

Myślisz, że godność moja książęca nas dzieli?
Tyle co ten kwiat. Jeżeli cię kolce jego ranić mają,
odrzucam precz dostojęństwo swoje, jak ręka moja to
ziele odrzuca. (Ciska różę)

CARRARO.

Słucham słów twoich jak muzyki: czuję, a pojąć
nie mogę.

BIANCA (tuląc się doń).

Tak, serce przy sercu! Groźba wisi nad nami,
lecz nas nie dzieli. Czegóż się namyslać? Czego
smucić? Nie będziemy mogli razem żyć, — zginiemy
razem.

CARRARO.

Razem, razem!... (Siadają na ławeczce).

BIANCA.

Unieś mnie daleko, daleko: przecie tyś orzeł.
a ja gołąbka twoja biała. W góry mojej matki..,

Będziesz polował na dzikie kozły, a ja ci będę strawę warzyła w lepiance czy jaskini, prosząc Madonę, by strzegła mego myśliwca, by mu się stopa gdzie nie pośliznęła, by nań niedźwiedź znienacka nie wypadł.

CARRARO.

Tyle szczęścia! Tyle szczęścia i tyle nieszczęścia...

BIANCA.

Gdzież nieszczęście? Czyż jasne oczy aniołów nie mrugają dziś na nas dawną czułością wesolą? Czyż słowik nie tak samo cudnie łka z zachwytu nad naszą miłością? My tu sami. Cały świat usnął, zapomniawszy o nas. Bądźmyż szczęśliwi. Jam twoja przecie. (Obejmuje go).

CARRARO.

Tak, w góry twojej matki. Tą szpadą wywalczę ci coś lepszego, niż lepiankę.

BIANCA (odsuwa się, grożąc palcem).

Niewolno zabijać, nie! Wolę lepiankę.

CARRARO.

Prawda. Niechże więc będzie i grota. Byleby jeno świat zapomniał o nas nazawsze, jak my posta-

ramy się o nim zapomnieć. Będę pamiętał tylko, że w tobie, Bianco, mam cały świat swój, całe niebo swoje.

BIANCA.

Uciekajmy, uciekajmy! (Nagle, smutnym głosem).
Ach, mój Boże! Dziś muszę wracać wcześniej.

CARRARO (przyciągając ją ku sobie, cicho).

Nie wracaj wcale.

BIANCA (z przestrawieniem).

Jakto?

CARRARO (szybko).

Konie czekają za murem. O świcie będziem za granicami Moleny. Stanie się, że będą widzieli jeźdźców, uwożących ku Sarmie kobietę w podobnym do twego stroju, my zaś staniemy tymczasem w Wenecyi: za trzy dni będziem na morzu, bezpieczni...

BIANCA (chwyta się za głowę, jakby zbierając myśli rozpierzchłe).

Czekaj, czekaj! Głowa mi się kręci... Nie, niepodobna... Tak nagle... Jutro... Nie: pojutrze, nawet za trzy dni. Tak nagle... Niepodobna... Muszę ojca pożegnać, choć nieżegnana... Muszę... Muszę

zabrać krucyfiks, pamiątkę po matce: ostatnią pamiątkę. Obiecałam Lucii... Nie, jej odradzę, ale muszę pojechać do Leggio, pomodlić się. Pozwól, za trzy dni. Ach, gdyby mnie ojciec Vicenzio pobłogosławił, jak lekki ptak leciałabym z tobą na skrzydłach serca. Błagam: pczwól! Tyleśmy czekali: trzy dni jeszcze. Przygotuj wszystko. Ale muszę już biedz. Bądź mi wesół i szczęśliwy. (Całuje go, odbiega, znowu wraca). O małym nie zapomniała. Giovanni, mam do ciebie wielką prośbę. Spełnisz ją?

CARRARO (głosem smutnym).

Mów, zrobię wszystko, co każesz.

BIANCA.

Rozwesel się: trzy dni tylko! (Szybko). Tę oto sakiewkę (daje)—dziesięć dukatów w niej, skarby panińskie... Ale to aż na końcu miasta...

CARRARO.

Choćby na końcu świata. Ale kto? co?

BIANCA.

Daj pod pretekstem zamówienia...

CARRARO.

Komu?

BIANCA.

Kopista nasz porzucił służbę. Chciano go wywalić: może przeczuł. A przedtem też był w wielkiej biedzie. Nie mam kogo poprosić: tu go tak wszyscy nie lubią.

CARRARO.

Pewno nie dobrego. Słyszałem, śmieją się z niego wszyscy. Zarozumialec i narwaniec!...

BIANCA.

Ach nie, nie! Jestem pewna, że to piękna dusza i żal mi go bardzo.

CARRARO.

Nad kim się ty nie ulitujesz?

BIANCA.

Więc pójdziesz? Tylko to daleko gdzieś, sama nie wiem gdzie. (Całuje go znów i chce odejść)

CARRARO (zatrzymując ją).

A zabierz sobie tę sakiewkę, już jakoś to będzie.

BIANCA.

Nie, nie! Chcę koniecznie, żebyś dał moje... Tylko niech nie uczuje, że to jałmużna. Jak trudno

się oderwać! (Ściska go, odbiega i znów wraca). Nie porzucisz mnie?

CARRARO.

Ja? Ciebie?

BIANCA.

Nie uciekniesz zato, żem nie towarzyszką księżniczki?

CARRARO.

Zkąd myśl taka?

BIANCA.

I nie będziesz się starał przestać kochać, zapomnieć?

CARRARO.

Bianko! Bianco! Ulituj się!

BIANCA.

Nie? Nie? Bo, widzisz, Giovanni, Kocham i boję się... (Tuli się doń).

CARRARO (rwącym się głosem).

Bianko, co ty mówisz! Zapomnieć? Ach, jak to skończone, jak skończone! Nie mógłbym... Aniby

chciał. O, nie, nie! (Coraz płynniej i goręcej). Gdyby jaka wróżka dobra, widząc... widząc straszny wir, w jaki ta miłość porywa duszę moją, — rzekła: „Żal mi ciebie, biedny szaleńcze! Chcesz? Jedno skinienie mej różdżki,—a jak ze snu obudzi cię z tego kochania rozpaczynego rzeczywistość dawnych a ziszczonych pragnień.“ Rzuciłbym przekleństwo i uciekłbym w trwodze. (Bianca mocniej się tuli) Gdyby ta miłość zgasła w mojej duszy, stałbym się odrazu, jak ziemia, której słońce na wieki zagasło, jak statek bez gwiazdy przewodniej wśród bezmiarów wodnych, jak łódź bez steru i wiosła, jak człowiek, któryemu wszystko, co jest — nie jest wcale. A tak—niech mam nadzieję, że raz jeszcze w życiu — choćby raz jeden tylko zawrą cię, jak teraz, w uścisku ramiona moje, — oddamże los swój za czyjeś losy najszczęśliwsze? za najcudniejsze losy, jakie bajka wymyśleć zdoła? Nawet nadzieja dotknięcia ręki twojej, chociażby ujrzenia cię zdaleka, wypełniłaby już tak duszę moją, że zostałyby w niej miejsce na cienie tylko innych myśli i pragnień. Nawet bez nadziei — byłoby to piekło, wielkie wielkością mąk i wspomnień, gdzie byłbym bogiem cierpienia... Ale bezmiar płaskości i błahości!... Brrr!... Wolałbym, zatraciwszy pamięć, przerodzić się w mysz lub żabę.

BIANCA

Giovanni! Giovanni! I ja ciebie kocham.

CARRARO.

Powtórz! powtórz!

BIANCA.

Kocham, kocham, kocham!

CARRARO.

Ach! Jeżeli Bóg mnie potępi i strąci, a wprzód z korzeniami nie wyrwie z serca „kocham“ twego...

BIANCA (zakrywając mu usta dłonią).

Cicho, cicho, jedyny! (Po chwili). I jam też w wir groźny porwana. I kocham snąć też nietylko słodycz twego pocałunku, lecz i łzy tęsknot i niepokoju w naszych, bo nic, nic z tego nie oddam, za nic nie oddam.

CARRARO.

Kiedy dusza moja ze łkaniem czołga się po ziemi przed marzeniem o tobie, — jeschcem najszczęśliwszy z ludzi, bo wszelkie inne szczęście ludzkie, jak szmatę bym brudną odrzucił. Gdybym był w gronie królów, czułbym się, jak Harun al Raszyd w gronie żebraków: ten się przechwala nową torbą, tamten

almużną obfitą, ów pasem skradzionym lub kurą, ja ja milczę, żem władcą władców. Kiedy pomyślę ona, Bianca moja, gołąbka moja biała, ona, ona mnie kocha, serce wzbiera dumą taką niezmierną, że ją chyba bogom tylko zapragnąłbym okazać.

BIANCA (tuli się doń i po chwili).

Może dlatego Bóg zsyła nam tyle walk i niepokojów, że dusza ludzka nie zniosłaby takiego ogromu szczęścia.

CARRARO.

Może, może!...

BIANCA.

Chwilami straszno mi. Tyle dusz wielkich sko-
nało w męce i hańbie, tyle serc wiernych rozbiła
zdrada lub śmierć ukochanych, zkądżeby więc mnie?..

CARRARO.

Gdyby szczęście było nagrodą, — twoją byłaby
cała rozkosz ziemi i nieba.

BIANCA.

Nie, nie! Chcę, żebyś myślał, żem dobra, ale
wiem, żem niewarta, nie!

CARRARO.

Tyś niewarta? Pamiętasz, nawet nad Niemcem tym płakałaś, jakgdyby całe ich stado warte było jednej łzy twojej.

BIANCA.

Widzisz, jak ty mnie nie znasz. Gdyby go był kto inny zabił!... To nad tobą płakała miłość moja. Kiedym usłyszała o tem, stanęła mi w oczach twarz zamordowanego brata: odtąd w snach ją widuję. Ach!... I teraz mignęła mi w mroku. Taka zacięta i surowa... (Po chwili). Patrz jak się świat z mroczył!... Widziałam wtedy z okna wszystko. Straszna chwila. I najokropniejszym było to, że nie wiedziałam, za kogo się modlić: czy za brata, czy za żebraka, czy za... Co ci, Giovanni? Będzie burza: takie chmurzyska czarne... Miły! (Bierze go za rękę i wnet puszcza ją z przestraczem). Sztywna i zimna jak jego wtedy... (Tuli się doń). Co za wiatr przemijający... Porusz się! Okryj mnie swoim płaszczem (Rozchyła płaszcz jego i okrywa się). Słyszysz? Teraz straszną jakąś bajkę szepczą liście. Czy zawsze o miłości naszej? Może o śmierci? czyjej? Naszej? (Grzmi) Ach, boję się iść sama. Odprowadź mnie do

furtki. Chodźmy tak pod jednym płaszczem. Ożyj, Giovanni! Obejmij mnie, otul skrzydłami: przecieżem twoja biała gołąbka. Giovanni! Białej gołąbce straszno i zimno! (Wychodzą).

(Zastona).

Scena 5

Pracownia Rosellego. Drzwi w głębi po lewej stronie. Roselli, Carraro, potem Pereto, Lapi, Sera i sługa Pereta.

CARRARO (wchodząc).

Wy jesteście Mattea Roselli?

ROSELLI (potwierdza głową, nie patrząc).

CARRARO.

Opuszczając Molonę, chciałbym mieć po niej pamiątkę. Czybyście nie mogli?... (Dostrzega obraz tuż przy drzwiach). Ach!... (Szeptem) Bianca!

ROSELLI.

Maria.

CARRARO (jakby obudzony).

I to wy? wy?...

ROSELLI (wskazując obraz).

Maria, piękność wiecznie płodna a wiecznie dziewicza, matka wcieleń się Bóstwa dla patrzących zmysłami dusz.

CARRARO (nie słysząc).

Ona!

ROSELLI.

Madona — źródło przeczyste boskości na ziemi. (Po chwili). W oczach niema miłości, bo niema już nigdzie nienawiści. Ni litości w nich błagalnej, bo nigdzie niema cierpienia, ni grzechu. Ni smutku w tych rysach, bo we wszechświecie niema zła: znikło, jak wrzód ze zdrowego ciała. Oczy wzniesione, jako serce pełne zachwytu, ale nie ku tronowi Najwyższego, bo Bóg wszędzie i wszystko — Bóg. Wieczność i nieskończoność — to harmonia, spokój i światło. Wieczność, nieskończoność — harmonia, spokój, światło.

CARRARO (wciąż wpatrzony w obraz).

Jakaż moc geniuszu mogła stworzyć takie dzieło?

ROSELLI.

Moc! moc, którą jedno technienie ust rozproszy-

łoby, jak listki kwiata najdelikatniejszego. Moc ludzka! Wiem, (wskazuje obraz) broniła... mnie broniła, kazała od siebie prosić, żebym został... Ale jedno słowo,.. jedno słówko... nawet nie ojcu, a nie skończyłbym był nigdy...

SERA (wchodząc. Z nim Pereto i Lapi).

Otóż i jesteśmy w tym przybytku wilgoci, szczyrów i sztuki. Patrzmyż owych pereł bezcen.. (Dostrzegłszy obraz). Co to?

PERETO (oddając płaszcz służce, dostrzega też obraz, patrzy przez chwilę i nagle do Rosellego).

To wasze? Co chcecie za niego?

ROSELLI (głosem bezdźwięcznym).

Nie sprzedaję.

PERETO.

Dam tysiąc dukatów. (Sera ciągnie go za rękaw).

ROSELLI (nie patrząc na obecnych, przeczy głową).

PERETO.

Dwa razy tyle! (Roselli jakby nie słyszał). Zresztą — prawda. Nieśmiertelne twory geniuszu nie mają ceny. Gotówem dać najwyższą sumę, jaką kiedykolwiek za obraz zapłacou. Słyszycie?

ROSELLI (tymże głosem).

To dla klasztoru w Leggio.

PERETO.

Co? Ten cud ukryć w mrokach kaplicy klasztornej? Mnichom — to arcydzieło, godne cesarza i papieża? Cóż może wam dać klasztor?

ROSELLI.

Więcej, niż wszyscy mocarze świata — spokój.

PERETO.

Co to znaczy? Nic nie rozumiem.

ROSELLI.

To port, co skołatanej łodzi mego żywota schronienia użyje.

PERETO.

Jakto? Wy — do klasztoru? W kwiecie wieku?... Wielki geniusz, którego jutro otoczy rozkosz sławy, bogactwa i miłości?!

ROSELLI.

Pragnę tylko zapomnienia i ciszy. (Po chwili, barwniejszym trochę głosem). Pełna słońca cela... W ramach okna obraz mistrza mistrzów: pola i wody, i gaje...

DWAJ MNISI (wchodząc).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

ROSELLI (mocnym głosem).

Na wieki wieków. Amen. Weźcież i ten obraz, bracia. (Podejmuje leżące przed obrazem na ziemi pendzle i paletę i wychodzi za mnichami. We drzwiach, przypomniawszy sobie, odwraca się i naśladując jakgdyby towarzyszy). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

SŁUGA PERETA (po chwili milczenia).

Na wieki wieków. (Drzwi się zamykają).

PERETO.

Zaczekajcie! (Patrząc po obecnych). Co to jest? Czy to sen? Przecie to szaleństwo!

SERA (starając się ukryć zmieszanie).

Mówiłem waszej dostojności, że mu tego... (Kręci palcem koło czoła).

PERETO.

Ależ to niemożliwe. Opowiem Ojcu świętemu... Jeżeli nawet poczynił ten człowiek jakie przyrzeczenia, — będą rozwiązane: ręczę...

CARRARO.

Czy tylko Roselli się zgodzi.

PERETO.

Wiecież, co mu jest?

CARRARO.

Może. Z tego, co on ma w sercu, nie uleczy go
Papież: chyba Bóg. (Wychodzi).

(Zastana).

A K T IV.

Scena I.

Przy altanie. BIANCA i CARRARO.

(Jasna noc).

CARRARO.

Czemu tak późno? Wszystko czeka oddawna.
Spieszmy! *(Obejmuje ją i pociąga).*

BIANCA *(opierając się).*

Jakto? Czyż nie wiesz?

CARRARO *(puszczając ją).*

Wiem, wiem, wiedziałem. Czemużem cię wtedy
siłą nie porwał! Wszystko zginęło!

BIANCA.

Co zginęło, Giovanni? Zkąd ta rozpacz, Giovanni? (Jakby do siebie). Giovanni: nie wiedziałam, że to tak pięknie brzmi. Dziwne imię: można je godzinami powtarzać.

CARRARO.

Więc już nie chcesz? już nie pojedziesz?

BIANCA.

Przecież wojna, Giovanni, jakżebym więc mogła!... Mój Boże! Nawet ja się cieszę. Gryzę się tą radością, ale się cieszę.

CARRARO.

I czego? czego?

BIANCA.

Nie rozumiesz? A przecie to takie jasne. Możesz-że nie zaćmić wszystkich, nie zadziwić świata? Powtarzam sobie: minęły czasy rycerzy bajecznych, co w pojedynkę wojska zwyciężali, otrzymując w nagrodę królestwo wraz z ręką królowy uratowanej, a wciąż mi się pomimo to marzy twój tryumf i wdzięczność mego ojca.

CARRARO.

To miraże! A tam żywe konie grzebią ziemię niecierpliwemi kopytami, otwiera się przed nami świat swobody, miłości, zapomnienia... Ach, czemuś mnie wtedy nie usłuchała!

BIANCA.

Co mówisz? Kiedym usłyszała, że wojna ogłoszona, pobiegłam do swego pokoju i pół dnia leżałam krzyżem przed krucyfiksem cudownym matki nieboszczki. Wszyscy myśleli, że modłę się prosząc, a ja dziękowałam. Wiesz za co? Że mi Bóg dał natchnienie i siły oprzeć się pokusie. Gdybyśmy byli uciekli, trzeba byłoby wracać—i jak? Pomyśl: w niebezpieczeństwie groźnem porzucić wszystkich, zabierając najdzielniejszego rycerza, największą ich nadzieję!...

CARRARO.

Ach, Bianco, Bianco!

BIANCA.

Wiesz, tak jakoś dziwnie zmieszało mi się w duszy... Ten stary ojciec, taki dziś pełny złych przeczuć, taki skłopotany, taki zgnębiony—jest teraz nioby mojem dzieckiem, a ty, taki wielki i mężny, i czu-

ły—jesteś niby moim ojcem. Rzuciłżebyś wnuczątko swoje na pastwę złych losów, ojcze mój, mocny i drogi?

CARRARO.

Czyn, co chcesz. Jestem twój. Wiedziałem
Niech się dzieje twoja wola

BIANCA.

Boża, Giovanni, Boża. Co za szczęście: Opatrzność się nami opiekuje. Gdyby nas gdzieś daleko dosięgła wieść o wojnie tej, o klęsce może ojca, złamanego jeszcze w takiej chwili ucieczką córki jedynej... Mrowie mię przechodzi na myśl samą... Nawet pocałunek twój piołunemby się stał i trucizną. Skoczyłabym chyba do morza...

CARRARO.

Tak Bóg chciał, niech więc tak będzie.

BIANCA.

Będziesz się opiekował moim dzieckiem?

CARRARO.

Nie rozdzieraj mi duszy! (Rzucając się jej do nóg).
Ty nie wiesz!...

BIANCA.

Wiem, wiem. Wiem, że Bóg mi zesłał archaniota swego.

CARRARO (obejmując jej kolana i podnosząc twarz przerażoną).

Przez litość!.. przez litość!.. Nie mów tak!

BIANCA (pieszcząc dłonią jego włosy).

Otóż będę tak mówiła. To ty nie wiesz, nie pamiętasz. Przypomnij sobie tylko dobrze. Otoczony rojem aniołów, niby obłoczkami srebrzystymi, oparłszy stopy na kobiercu utkanym z najczystszej błękitu, Bóg siedział na tronie, wykutym z najbielszych promieni słonecznych, i spoglądał ku ziemi. Wzrok jego prześlizgnął się po polach Italii, krzepiąc serca uieszczęśliwych, zboże i ręce biednych, i nagle padł na pewną smutną białą gołąbkę: znasz ją, to ja, twoja Bianca, twoja i Jego. I rzekł Pan do najbliższego i najpiękniejszego archanioła o skrzydłach najszerszych: „spójrz w dół, ku Italii. Widzisz tam, w Molenie, tę biedną dziewczynę, biedną, choć ludzie myślą, że szczęśliwa, bo księżniczka. Patrz, jakie straszne niebezpieczeństwa jeżą się dookoła niej. Żal mi tego dziecka, bo ufa mi, koch.

i wierzy, jak umie. Idź, otocz ją spokojem swych skrzydeł i blaskiem swego miecza. Chcę dać jej w chwili życia chwilę szczęścia. Potem, jak piastunka dziecię, przyniesiesz mi w ramionach tę duszę: daję ci ją“.

CARRARO (zrywa się, załamując ręce).

BIANCA (tuląc się doń, ciszej).

To też jam twoja, bo wiem: On ci mnie dał.

CARRARO (ciężko dysząc).

Dobrze więc!... Niech tak będzie! Jam nędznik, jam nędznik...

BIANCA (z przest్రachem i wyrzutem).

Giovanni!

CARRARO.

Jam nędznik, ale jeżeli trzeba, otoczę cię blaskiem swojego miecza. Chyba po trupie moim...

BIANCA

Wierzę, wierzę. I sama posyłam cię, i nic a nic się nie lękam o ciebie. Dziwię się temu, że się nie lękam, ale się nie lękam. Zdaje mi się, że gdyby było trzeba, mógłbyś pinie najwyższe z korzeniami

wyrywać. Ciebie moce nadziemskie będą chroniły,
a ty nas.

CARRARO.

Modlitwie twojej ufam więcej, niż swojej sile.

BIANCA.

Tylko jeszcze jednej rzeczy, tam podsłuchanej,
zapomniałam. Gdy archanioł miał się już do odlotu,
On dorzucił: „ale nawet wrogów jej nie zabijaj!”

CARRARO.

Nie zapytałże archanioł: „jakże więc mam ją
bronić mieczem, o panie?”

BIANCA.

A pan na to: „jeżeli zabijesz,—znaczy czas na
tę duszę przyszedł, jeno ty tego nie chciej. W osta-
tecznych nawet razach — zrań. A niech cię Bóg
bronil“..

CARRARO.

Także Pan sam o sobie mówił?

BIANCA.

Niewolnoż mu wedle swej woli mówić? „A niech
cię Bóg broni niewolnikom krzywdę czynić!”

CARRARO.

Aniele ty mój, aniele stróżu!

BIANCA.

„Pamiętaj bowiem—dodał—że to bracia rodzeni tego biednego dziecka z Moleny, synowie jednej ojczyzny“. (Wybuchła płaczem i po chwili). POCO to wszystko, poco? I tam, i tu tak samo śpiewają i modlą się. Gdybym mogła krwią własną zażegnać... Ale co ci, Giovanni mój? Biedny! Twojem sercem szlachetnem wstrząsa tak boleśnie owa kropla krwi włoskiej. Nie martw się, cóż robić: wola Boża! Myśmy tego nie chcieli. Ale pora mi: świt niedaleko. Bądź zdrów, jedyny! Uściśnij mnie! Nie tak! Szczerze, jak dawniej: ot tak (Obejmuje go i całuje). Przecieżem ta sama. (Ściska go i odbiega).

CARRARO (sam).

Boże, ratuj duszę moją! Daj śmierć w pierwszej bitwie!... Nie mogę znieść, nie mogę, nie mogę! Wszystko to ja!

(Zasłona).

Scena 2.

(*Ranek*).

Altana. Bianca, Silvia, Lucia. później książę i Lapi.

LUCIA.

Jacy szczęśliwi ci mężczyźni.

BIANCA.

Czegóż im tak zazdrościsz?

LUCIA.

Pewno nie bród i wąsów kolących.

BIANCA.

Chodź drożynami ubitemi, to cię nie podrapią krzaki ostre. Zapytaj naprzykład Silvia, czy ją obchodzi szorstkość zarostów męskich?

SILVIA.

Skromność zabrania mi myśleć o takich rzeczach, szacunek zaś dla osoby waszej wysokości...

BIANCA

Ach, daj mu pokój! Tyle myśli smutnych się ciśnie, a miałybyśmy się same na nudne gwałtem wysilać? (Do Lucii). Czego więc zazdrościsz właściwie?

LUCIA.

Wojny. Co to musi być za rozkosz: krzyki, śpiewy, szczęki, brzęki, trąby, rżenie koni!...

BIANCA.

Rany i śmierć.

LUCIA.

A zwycięstwo? a pogoń za nieprzyjacielem?

BIANCA.

A porażka i pogoń nieprzyjaciela?

LUCIA.

Jabym się tam nie dała!

BIANCA.

Jakto? Całej armii? Przecie między Sarmań-
czykami są też ładne chłopcy.

LUCIA.

I ty—w takim humorze?

BIANCA.

Niby przed wojną? Bo, widzisz, ja w nią nie
wierzę: ale to nie a nie!

LUCIA.

Jakto? Przecie już ogłoszono...

BIANCA.

Ogłosz, co innego. Mam przecucie, że w ostatniej chwili zerwie się wichur, co rozpędzi te groźne chmurzyska.

LUCIA.

Chyba sen jakiś proroczy miałaś tej nocy, bo wczoraj jeszcze byłaś smutna—śmiertelnie.

BIANCA (oblewając się rumieńcem).

Sama nie wiem, ale... ale...

LUCIA

Ja tam nie podzielałam ani wczorajszej twojej rozpaczki, ani dzielę przecuć dzisiejszych, a martwię się stale, choć miernie, że wszyscy chłopcy, godni tego miana, idą w pole, bo z tych, którzy zostaną,—niewielka pociecha: jedni tacy młodzi, że się jeszcze nie stali mężczyznami, drudzy zaś tacy starzy, że nimi już być przestali. Czemuż nie mogę iść do Sarmy z innymi.

BIANCA.

Poproś ładnie, może też weźmie cię który, ogoliwszy się wprzód naturalnie.

SILVIA.

Wesołe to życie wiwandierki czy kantinierki:
będzie ci słodko pocieszać strudzonych rycerzy.

LUCIA.

Twoja skromność tak duża wie o tem? (Do Bianki).
Broda odrastająca najbardziej kole, a na wojnie...

MARGRABINA MALFI (wchodzi i głosem drżą-
cym z gestem melodramatycznym do Bianki).

Biedna ty moja dziecino królewska!

BIANCA.

Czemuż znów litujecie się tak nademną, margra-
bino?

MALFI.

Tylko niewinność anielska może z taką ufnością
spokojną patrzeć na jeżące się dokoła przepaście.

LUCIA (cicho do siebie).

Łatwiej mówić o takich zjawiskach, niż je
ogłądać.

MALFI (zmierzywszy ją wejrzeniem wzgardliwym,
wciąż patetycznie do Bianki).

Gdy się wierzy, iż w chwili ostatniej Bóg ześle
swego archanioła...

BIANCA (z przejściem się).

O, tak!

MALFI (tonem zdumienia dziwnego).

Jakto? Już wie wasza wysokość?

BIANCA.

Wiem oddawna, margrabino.

MALFI.

Myślałam, że pierwsza oznajmię waszej wysokości tę nowinę radosną, lecz na zamku tym plotkarstwo tak kwitnie... (Spojrzenie w stronę Lucii).

LUCIA (jak wprzód).

Przy takiej ogrodnicze...

BIANCA (jednocześnie, ze zdziwieniem).

Jaką nowinę?

MALFI.

Oczywiście o księciu Orvienny.

BIANCA.

W jakimże tańcu spotkał go przypadek?

MALFI.

Więc to tak, wogóle, mówiła wasza wysokość? niby z przeczucia? Otóż powiem: ten wspaniałomyśl-

ny pan, pełny stałego ubóstwienia dla waszej wysokości...

BIANCA.

Oboje zatem stali jesteśmy w uczuciach dla siebie.

MALFI (kończąc)

...Przybył z posiłkami licznemi, by walczyć w kolorach swej damy za Molenę i miłość swoją.

BIANCA.

Jestże obawa, by tej miłości kto nie podzielił, jak to wróg chce z Moleną uczynić? Pewno też jakiś sen proroczy powiedział temu panu wspaniałomyślnemu...

KSIAŻĘ (wchodząc z Lapim, do Bianki)

Więc to jest ten upodobany przez ciebie zakątek. Dzień drogi od pałacu. Fantazyja dzika! No, ale cóż? Nie jesteś zbyt wzruszona rycerskiem zjawieniem się wiernego wielbiciela?

BIANCA.

Nie, ojcze.

KSIAŻĘ.

Pójdź-no zobacz: przyprowadził tysiąc ludzi wybornie uzbrojonych i umundurowanych — jak na bal..

BIANCA (siłąc się na spokój i wesołość).

Każ-że im przetańczyć, ojcze, i puść do domu, jeżeli bowiem, na wzór pana, ducha też mają „jak na bal“ — nic po nich w polu.

KSIAŻĘ.

Co? Ty też potrafisz kąsać? Czyż nie przyjemniej całować? Przyjrzyj się lepiej księciu Orvien-ny, a przekonasz się, że to mężczyzna od stóp do głów.

BIANCA

Nie wyłączając nawet ręki i serca?

KSIAŻĘ (surowo).

Dość żartów. Bardzobym pragnął, by ci się on podobał.

BIANCA (nagle blednąc, po chwili).

Wiem, że książę Moleny za dumny jest, by sprz dać córkę za posiłki choćby się na tysiące dukatów liczyły. skoro ostatni wyrobnik...

KSIAŻĘ (niecierpliwie).

Co mi pleciesz o sprzedaży? (Opanowując się, tonem żartobliwym). Jeżeli masz na myśli zamęście, — nie ganię ci tego: któraż dziewczyna o tem nie myśli. (Do panien). Nieprawdaż, dzierlatki?

LUCIA (z ukłonem).

Przyznaję się waszej wysokości za nas obie, bo towarzysze mojej skromności zamyka usta.

KSIĄŻE.

Ucz się jej od niej. Możecie odejść, panny. (Do Bianki). Nikt cię przecie związanej do ołtarza nie powlecze. (Pełna męki twarz Bianki zlekka się wypogadza). Oddam rękę twoją temu, komu ją sama oddać zechcesz, (Nagła radość twarz jej zalewa)... bo wiem, że księżniczka Moleny za dumą jest na wybór jakiegoś przybłądy, niegodnego jej rodu. (Bianka znów się mieni). Ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Powinnaś chyba zrozumieć, że nie czas teraz na zniechęcanie i odstręczanie przyjaciół i sprzymierzeńców. I tak głowa mi pęka od kłopotów: zechceszże mi ich przysparzać? Nie nakazujeż ci sam obowiązek gościnności być uprzejmą dla tych, kogo dobra wola pod dach nasz sprowadza?

BIANCA.

Ależ, ojczy!...

KSIĄŻE.

Rób, jak chcesz: we mnie znajdziesz zawsze powolnego i słabego ojca, ale pamiętaj, że zmniejszać liczbę moich sprzymierzeńców w takiej chwili...

BIANCA.

Czegoż żądasz od mnie, ojcze?

KSIĄŻĘ.

Nie wypędź tego, jak tamtego—i tyle.

BIANCA.

Postaram się, ojcze. Wolno mi odejść?

KSIĄŻĘ.

Idź. (Patrzy jej w ślad). Zostańcie, margrabinol
(Do Lapiego, gestykulując). Ona się postara, słyszysz?
Postara się nie wygnać księcia Orvienny! (Bystro do
margrabiny). W kim się kocha wychowanka wasza?

MALFI (z przerażeniem).

Cóż znów, wasza wysokość! Kocha się? Jej
wysokość miałyby się kochać?

KSIĄŻĘ.

Cóż was tak dziwi? Stare baby pozwalają so-
bie na to niekiedy, nie tylko młode dziewczęta. (Do
Lapiego). Uważałeś, jak się mieniła, kiedyś mówił
o jej małżeństwie przyszłem? (Lapi potwierdza głową).
Niczeście nie dostrzegli, margrabinio? Posądzilby,
was kto, że się nie znacie na tych rzeczach.

MALFI.

Mój Boże jedyny! Co noc chodzę, słucham przy drzwiach...

KSIAŻĘ (niecierpliwie).

Niepokoi mnie to, co się dzieje w sercu waszej wychowanki, nie zaś w jej sypialni.

MALFI.

Ależ raczy wasza wysokość...

KSIAŻĘ (do Lapiego).

Uważałeś, jak wyraz „przybłęda“ zdmuchnął radość z jej twarzy? (Do Margrabiny). Możecie iść do niej, skoro nic nie wiecie. (Malfi wychodzi z ukłonem).

LAPI.

Jej wysokość bardzo jest zawsze łaskawa dla hrabiego du Lieu, który, jak na cudzoziemca, tak pięknie mówi po włosku, a takie ma rysy, jakbym go znał od młodości.

KSIAŻĘ.

Co mówisz? Hm! Jeżeli to on wpadł jej w oko, to... trzeba teraz pamiętać przedewszystkiem o wojnie. Nie pora chwytne, choć szkodne, psy przed samym polowaniem wieszać. W każdym razie, jeżeli

przypuszczenie twoje się sprawdzi, nie miałby poco wracać do Moleny ten Francuz.

LAPI.

Na wojnie łatwo sposób się znajdzie.

KSIĄŻĘ.

Naturalnie, pod koniec. Co się zaś tyczy tego osła z Orvienny, to jeżeli mu się tak chce Bianki, niech prosi Boga, żebyśmy przegrali, w przeciwnym bowiem razie Ferrata byłaby daleko odpowiedniejszą.

LAPI.

Oczywiście, jeżeli tylko jej wysokość...

KSIĄŻĘ.

Tak, to prawda! I pomyśleć, że ja, co nic sobie nie robię z cesarza i króla francuskiego a drwię z Papieża,—muszę się liczyć z fantazyą tej błaznicy.

LAPI.

Filigranowa dusza.

KSIĄŻĘ.

O to, to! Jak on to powiedział! Prawda, ty się w niej też kochasz, stary!

LAPI.

Od dnia jej narodzin: choroba nie groźna, bo chroniczna.

KSIAŻĘ.

Kochaj się więc, kochaj, jeno mi jej nie wykradnij. Trzeba jednak przyznać, że ten skoczek z Orvienny ogromną mi zrobił satysfakcję. Wczoraj jeszcze myślałem, że m opuszczony przez cały świat i skazany na zagubę, a dziś—ożyłem i raźniej mi jakoś. Tak, po wszystkim trzeba będzie tego Francuza sprzątnąć...

Scena 2.

Carraro, Dowmunt w swoim mieszkaniu.

DOWMUNT.

Czy i tej nocy konie mamy trzymać w pogotowiu?

CARRARO.

Nie.

DOWMUNT.

Rozmyśliła się?

CARRARO.

Miałaby ojca w niebezpieczeństwie opuścić? Ta wojna przeklęta! (Zrywa się) Ale jej nie będzie, nie będzie. Za kilka dni pofruniem, jak ptaki.

DOWMUNT.

Zkąd wiesz, że nie będzie?

CARRARO.

A któż ma wiedzieć? Jak mi to odrazu do głowy nie przyszło? Nagle wczoraj wieczorem... Nie o mnież tu chodzi? Skoro więc ja się wycofam i zrzekę pretensyi wszelkich...

DOWMUNT.

Uczyniszże to?

CARRARO.

Posyłam list do Mantui, zkąd go kupiec pewien odeśle do Sarmy. Napisałem, niby z Wenecyi, że jadę do Francyi, bom się rozmyślił i nie chcę być przyczyną rozlewu krwi bratniej, że dziękuję za pomoc ofiarowaną, ale już sam warunek oddania Leggio każe mi się jej po namyśle wyrzec; że wreszcie całą naszą umowę uważam za zerwaną i proszę o załagodzenie zatargu z Moleną.

DOWMUNT.

I tyś to uczynił?

DI MASSA (wchodząc i składając ukłon głęboki Carrarowi).

Przynoszę waszej wysokości cały pęk nowin. Postanowiono ruszyć o świcie przyszłego poniedziałku prosto na Sarmę, nie czekając nieprzyjaciela, i opierając się lewym skrzydłem o góry. Książę Orvienny, bojąc się oczywiście zaćmienia swej osoby, wyrobił dla waszej wysokości stanowisko burgrabiego w Leggio... Cha, cha, cha!... bo to niby spodziewają się podejścia i napadu od strony gór, trzeba więc tam kogoś pewnego. Cha, cha, cha!...

CARRARO.

Czemu zwiecie mnie wysokością?

DI MASSA.

Przyzwyczajam się dziś, żeby się jutro nie pomylić. Na tym tu papierze macie cały plan kampanii: terminy wymarszów, punkty zborne, liczba, zapasy. Jednym słowem wszystko, jak trzeba. Piszcie więc do księcia kuzyna, niech zawczasu obsadzi...

CARRARO.

Nie!..

DI MASSA. .

Jakto? Musicie przecie jakiś znak posłać, że to od was. Jenó posyłajcie nie prosto, boby posłańca wnet przejęto. Niech naprzód kieruje się w stronę Paduy, potem nawróci ku Mantui, a minąwszy dopiero rozjazdy Moleńskie..

CARRARO (dobitnie).

Nie pošlę tego wcale.

DI MASSA (bystro).

Jedziemy sami?

CARRARO.

Nie...

DI MASSA.

Będziemyż zwlekać do ostatniej chwili? Ja i moi czekamy tylko znaku. A to przecie pilne. (wskazując papier).

CARRARO (z rozdrażnieniem).

Nie czekajcie, bo się nie doczekacie.

DI MASSA.

Jakto? Przecie musimy wszyscy razem... Ale bez żartów, wiadomości to pilne i najwyższej wagi.

CARRARO.

Przecenilem swoje siły: nie dla mnie rzemiosło szpiegowskie.

DI MASSA (ze zdumieniem).

Rzemiosło szpiegowskie? Mielizbyście nie korzystać ze wszystkiego, czegoście się tu dowiedzieli? (Z uśmiechem). Nie szepnieciesz ani słówka wodzowi Sarmeńczyków? (Po chwili). Zagadka to jakaś, i żałuję, że nie jestem Edypem. (Znowu milczenie). Wytłómaczycie mi ją innym razem, dziś bowiem nie jesteście widać usposobieni. Ale-ale, chciałem wam jeszcze powiedzieć...

CARRARO.

Guido!

DI MASSA.

Słucham.

CARRARO (po chwili).

Poco mam was utrzymywać w błędzie? Ostatnimi czasy dużo myślałem o dawnym swem przedsięwzięciu.

DI MASSA.

Dawnem? O jakim?

CARRARO.

I czuję coraz wyraźniej, żem nędznej podjął się
był roli.

DI MASSA.

In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti!

CARRARO.

Pali mnie koszula zdrajcy.

DI MASSA.

Wszak to wrogi twoje!

DOWMUNT.

Z wrogiem bić się otwarcie...

DI MASSA (zwracając się doń).

Waszeż to wpływy? Należy powinszować przy-
szłemu księciu Moleny tak dobrze znającego się na
polityce doradcy. Zaszczepiajmy więc w krainie sztuki
i wiedzy zwyczaje puszczy polskich.

DOWMUNT.

Jeżeli książęta wasi muszą koniecznie łąać
i zdradzać,—na nic im zwyczaje nasze.

CARRARO (do hr. di Massa).

Dajcie mu spokój. Nic on nie winien temu, że żałuję, iżem się dał wciągnąć do tej sprawy. Udawać, oszukiwać, wypatrywać, wybadywać, żeby potem donosić...

DI MASSA.

A toć to najprostszy wybieg wojenny.

CARRARO.

Gdybym był przynajmniej jakimś obrońcą sprawiedliwości, ale dla zysku własnego...

DI MASSA.

Nie jestże sprawiedliwością uwolnić Molenę od tyrana?

CARRARO.

Mówicie, jak do dziecka. Książę nie jest święty, ale tyranem nie był nigdy.

DI MASSA.

Zapewne, nie morduje on ludzi po ulicach dla przyjemności, nie spalił jeszcze ani razu miasta dla kaprysu, a dałoby się może znaleźć z pół tuzina dziewczewic w Molenie...

CARRARO.

Iluż to gorszych od niego, nie wyłączając mego kuzyna sarmeńskiego.

DI MASSA.

Drwicie sobie ze mnie, oczywiście, tylko zbyt już coś poważnie.

CARRARO.

Zrobiłem głupstwo i chcę się z niego wyplątać, was zaś błagam, zaklinam na dawną naszą przyjaźń: przebaczenie mi i odróbcie wszystko, coście zrobili.

DI MASSA.

Chyba śnię. Uszczypnijcie mnie, na miłość Boską, albo ukłujcie, choćby sztyletem.

CARRARO.

Pomordować tysiące, tysiącom zburzyć gniazda rodzinne, tysiące pograć w nędzę i rozpacz, byleby jeden dostał się do władzy! Odciąć i rzucić wilkowi kawał ciała macierzyńskiego, by kupić sobie tem prawo pastwienia się nad resztą jego bezkarnie!...

DOWMUNT (zrywając się).

Wiedziałem, że masz duszę, ale że tak... że tak...

DI MASSA.

Więc toście wymyślili? Innemi słowy znaczy to zerwanie z Sarmą.

CARRARO.

I zerwę, i zerwę. (Wskazuje przez okno). Patrz, goniec wyrusza.

DI MASSA.

A wasze pieniądze, ta suma olbrzymia—resztki fortuny?

CARRARO.

Bez księcia Sarmy nie mógłbym być nigdy podnieść tych pieniędzy, słusznie więc mu się one należą: za odszkodowanie starczy. Zresztą wolę stracić fortunę, niż duszę.

DI MASSA.

Czy to nie wycieczki do Leggio? Ojciec Vicenzio!... Aha! Że też was nie uprzedziłem, że tym mnichom więcej chodzi o pozostanie przy Molenie, niż o zbawienie. Jest to ich intryga!

CARRARO.

Zapewne, ojciec Vicenzio nie potępiłby mnie. Kara mi się należy, i jeżeli się tylko uda uniknąć krwi rozlewu, będę błogosławił swoją stratę.

DI MASSA (chodząc szybko).

Jak śnieg! jak śnieg wśród lata! Wydać całą fortunę na przedsięwzięcie, związać się umową i, stanąwszy niemal u celu, cofnąć się, odtrącić rękę pomocy...

CARRARO.

Bezinteresownej.

DI MASSA.

I ulitować się nad wrogiem najstraszliwszym a zdradzieckim!.. Nic nie rozumiem! Jak śnieg! (Nagle, zatrzymując się przed Carrarem). A jeżeli kuzyn wasz nie uwzględni tych racyi mnisio-litewskich?

DOWMUNT (wstając).

Wśród puszczy swoich umiemy szanować mnichów, ale racye potrafimy też mieć stalowe. (Uderza w rękę).

CARRARO (też wstaje).

Dajcie pokój, panowie! Tego tylko braknie żebyśmy się między sobą pobili. (Do hr. Di Massa). Czy książę Sarmy uwzględni moje powody, czy nie,—to jego rzecz, wiem tylko, że mu się grunt z pod nóg usunie. (Siada).

DI MASSA.

Grunt—to wojsko i pieniądze. Jeżeli więc ów książę, potrzebując koniecznie Leggio, poniósłszy już tyle trudów, mając wszystko gotowe, wojny nawet pomimo waszego cofnięcia się poniechać nie zechce?

CARRARO (zrywając się).

Co? Jakto? A głupiec ze mnie, głupiec! My-

ślałem: zażegnam. (Chodzi i przystaje). Prawda! prawda! On napewno!... (Załamując ręce). Ach, Madona! Madona! (Nagle i gwałtownie). Krew ta niech spadnie wtedy na jego głowę!

DI MASSA (po długiej chwili, niby obojętnie).

Niech pada! Nie będę się za nim modlił, ale co wy w takim razie uczynicie?

CARRARO.

Ja?

DOWMUNT.

Dziś się jeszcze zacięgnę na wszelki wypadek do wojsk tutejszych. (Odchodzi na stronę).

DI MASSA (przeprowadziwszy go wzrokiem wściekłości, do Carrara).

Może wy też przeciw samemu sobie służbę tu przyjmiecie. Przepraszam za ten żart głupi, ale mimowoli...

CARRARO.

Nie macie za co przeproszać.

DI MASSA (po chwili, z twarzą pogodną, głosem zwykłym).

Ale, ale! Gotówem był zapomnieć. Nareszcie

mamy sposobność doskonałą zwiedzenia waszego zamczyska. Pojedziem niby za miasto i dopiero od pół przez pewien wyłom w murze dostaniem się do parku. Dziś nikt nas tam nie dojrzy, zaraz wam powiem dlaczego. Kaźcie tymczasem siodłać konie.

CARRARO (z przestraszeniem).

Dziś? zaraz?

DI MASSA.

Trzeba korzystać ze sposobności. (do Dowmunta) Może i wy, hrabio, zechcecie nam towarzyszyć w tej wycieczce?

DOWMUNT.

Nie jestem hrabia, jeno równy królom szlachcie.

Scena 4.

Carraro, Dowmunt i Di Massa, potem Soto i Bachio. Przed ruinami pałacu Carrarów. Dowmunt cały czas milczy ponuro).

DI MASSA (do siedzącego z twarzą w dłoniach Carrara).

Siedzicie na odłamku posągu.

CARRARO (podnosząc się i patrząc, głucho i jakby obojętnie).

Tak? Tors Herkulesa: zdołał wejście do sali przyjąć. Wspaniała robota. Potłukli do niepoznania.

DI MASSA.

Hunny przeszły.

CARRARO.

Wszystko rozbite. (Po chwili). Przygotowując się do dysputy w Sorbonnie lub w namiocie między dwiema potyczkami, nieraz zamykałem oczy i oglądałem ten zamek w całej jego dawnej i dumnej piękności.

DI MASSA.

By zwyciężyć potem w dyspucie czy bitwie.

CARRARO.

Kilkanaście lat temu malcem jedenastoletnim wracałem raz do zamku tego jeszcze ze szkoły paduańskiej. Zaledwo głowa mego konia ukazała się we wrotach, zagrzmiały trąby i bębny, wystrzały i wiwaty. Na ganku, dziś w gruzach leżącym, oparty ręką o jednego z tych lwów potrzaskanych, stał mój ojciec. I wszystko, wszystko!...

DI MASSA.

Bolesne wspomnienia. *Nessun maggior dolore!*...
Z tej strony dach zerwany...

CARRARO.

Niby głowa kochana maczugą złoczyńcy strzaskana.

DI MASSA.

Tam okna deskami pozabijane...

CARRARO.

Jak oczy, ręką katowską brutalnie zamknięte.

DI MASSA.

Inne znów...

CARRARO.

Mój Boże! Tam komnata matki mojej — bez szyb, bez ram — patrzy oczodołami trupa.

DI MASSA.

I nikt nie wskrzesi.

CARRARO.

Pocom tu przyszedł? Jak dusi powietrze, którym oddychało dzieciństwo moje szczęśliwe.

DI MASSA.

Nie przypuszczałem, że cię to tak wzruszy.

CARRARO.

Niechby lepiej bluszcz ten obwijał mój grobowiec zaniedbany!

DI MASSA.

Ojciec twój myślał, że będziesz tu panował w potęgę, sławie i szczęściu.

CARRARO.

Bo nie wiedział, że sądzono mi zginąć nędznym i samotnym.

DI MASSA.

Lub księciem Moleny—wedle wyboru.

CARRARO.

Chodźmy do wnętrza. Jak po zarazie!...

DI MASSA.

Jak się roiło niegdyś w tym pałacu.. Służba i goście...

CARRARO (oglądając się).

I ten park! Najpiękniejszy park Italii, chluba mojej matki i Sota.. Gdzież klomby i aleje?

Lepiejby mogła moja, zapomniana w obcej ziemi, tem zielskiem porosła! Chodźmy.

DI MASSA.

Jak chcesz, może cię to jednak jeszcze bardziej przygnębi. (Do Dowmunta). Gdybyście tak zastali po powrocie siedzibę swoją? (Dowmunt mileząc idzie za Carrarem; z domu wychodzi Soto).

CARRARO (drgnąwszy, zatrzymuje się i wpatruje weń przez chwilę)

(Głosem drżącym ze wzruszenia). Co tu robisz?

SOTO.

Jestem ubogi ślepy starzec.

CARRARO (zmieniając jeszcze bardziej, już umyślnie, głos).

Powiedz nam, mój kochany, kto jest gospodarzem tej rudery?

SOTO.

Chyba ten, kto w niej gospodarzy.

CARRARO.

Któż taki? Zdawałoby się, że to pustka. Okna pozabijane...

SOTO.

Bo nowi gospodarze drwią ze światła. Jeden

kąt w jakiejś piwnicy zajmuję ja, w górnych zaś pokojach rozgościły się puszczyki i nietoperze.

DI MASSA.

Godna kompania.

SOTO.

Upraszam o przebaczenie łaskawych panów. Zapomniałem o nadwornych muzykantach i tkaczach, tymczasem świerszcze i pająki niepoślednią grają rolę.

DI MASSA.

Dawno tu mieszkasz?

SOTO.

Niktby nigdy nie potrafił mieszkać dawniej, niż od urodzenia.

DI MASSA.

Od urodzenia? Znałeś więc dawnych panów?

SOTO.

Jestem stary ślepy żebrak. Dajcie, panowie godni, grosik na chleb ubogiemu!

DI MASSA.

Jesteśmy nie tutejsi, a ciekawi. Przypadkiem tu weszliśmy. Mów, a jałmużny ci nie poskąpim.

SOTO.

Niech wam Pan Jezus, panowie szlachetni, i Matka jego przenajświętsza, błogosławi. Trudno mi dużo mówić: dech krótki, a bieda pamięć wygryzła. Niech was Madona!... (Chce odejść).

DI MASSA.

Zaczekajże, nie śpiesz: opłaci się! Dawno jesteście ślepy?

SOTO.

Od chwili, w której straciłem oczy. Bądźcie zdrowi, szlachetni panowie! (Znów chce iść).

CARRARO.

Stój, no i posłuchaj. Pewien przyjaciel mój, ztąd rodem, wiedząc, że mam być przejazdem w Molemie... Zwie się margrabia Carlo Carraro.

SOTO (wstrząśnięty, niby iskrą elektryczną, obraca się szepcząc coś niezrozumiale)

CARRARO.

... powiedział do mnie przed kilku dniami: odszukaj starego sługę mego i przyjaciela, Sota, którego dzieckiem najbardziej po rodzicach kochałem, i pozdrów odemnie.

SOTO.

Soto? Kto woła: Soto? Kto mnie zna? Kto mówi: Carlo Carraro? Pozdrowienie? Mnie pozdrowienie? Wie, że żyję? pamięta? pozdrowienie? Czy mi się już rozum maści? Tak się bałem obłąkania... Co mi się marzy! (Idzie, trzęsąc się, macając przed sobą kijem, aż wreszcie ręką wyciągniętą dotyka Carrara). Kto tu?

CARRARO.

Tyżeś to, kogo przyjaciel mój zwał drugim swym ojcem? Kazał doręczyć ci to...

SOTO (chcąc oddać położoną do ręki sakiewkę).

Złoto? Na co mi? Nie chcę złota. Niech najmie kilku żołnierzy więcej. Wspaniałomyślny pan mój, wielki rycerz!... Wiem... Kilku żołnierzy więcej... Na co mi złoto? (Chce oddać).

CARRARO.

Weź, weź! On kazał. Zobaczę go niebawem. Co mu powiedzieć? Jak oślepieś?

SOTO.

Wylupiły oczy potwory. (Wygrażając ręką). Pytali, gdzie Carlo? Ach, wtedy... Straszno wspominać! (Znow chce oddać sakiewkę). Na co mi to? Kilku żołnierzy... Powiedz mu wszystko, panie! (Wskazuje ręką dokoła). Powiedz, żeś widział te jamy.

(Wskazuje swoje oczy), któremi go już nie zobaczę. Ale rękami temi dotknę jeszcze jego czapki książęcej. Słyszę, wszyscy szepczą, a ślepcę żebraka nikt się nie strzeże. On mnie pomści... Siebie pomści. Zburzyli... Zhańbili...

CARRARO.

Chodź ze mną. Nie możesz tu zostać.

SOTO.

Miałbym jeszcze na przyjaciół mego Carla pomstę Antychrysta ściągnąć? I poco? Tu zacząłem, tu skończę. Jużbym od ruin tych serca oderwać nie potrafił: przyrosło. Przywykłem. Mnie nie straszą głosy nocne i kroki. To tak, jakbyście chcieli tych puszczyków... A dobrego słowa pana mego i syna starczy mi na resztę życia. (Chcąc znów oddać sakiewkę). Na co mi to? Na co?...

CARRARO

Czemże ci dopomódz mogę?

SOTO.

Niczem, panie dobry. Przy panu moim nie dla mnie staniesz. A będę jeszcze szczęśliwy, jakim nie byłem nigdy z pełnemi światła oczyma, kiedy usłyszę: „niech żyje książę Carlo.“ A jak oni będą krzyczeli. Tu nikt głośno nie mówi, a każdy pamięta.

(Znów chce oddać sakiewkę). I na co mi to? Weźcie, panie, oddajcie. Przecie tu dziesięciu żołnierzy...

CARRARO.

Weź, weź! On kazał.

SOTO.

Na co mi to?... Bądźcie zdrowi, szlachetni panowie. Powiedźcie, że stary Soto całuje rękę jego. (Śpiesznie odchodzi, szepcząc). Carlo! Carlo! (Carraro patrzy za nim bezmyślnie).

DI MASSA (po chwili woła, przykładając ręce do ust i zwracając się w stronę parku). Hola! Hej! Bachio! Hola, Bachio!

BACHIO (wbiega).

Jestem na rozkazy waszej cześci.

DI MASSA.

Znasz gońca, który pojechał do Mantui?

BACHIO.

Przecie to sam François, wasza cześć.

DI MASSA.

A wiesz, jaką drogą?

BACHIO.

Sam mu ją opowiadałem i ze sto razy, bo taki głupi...

DI MASSA.

A chciałbyś zarobić dziesięć dukatów?

BACHIO.

O, wasza miłość!

DI MASSA.

Bierz mego konia, dopędź François i każ imieniem swego pana wracać natychmiast. Rozumiesz?

BACHIO.

Rozumiem, wasza miłość.

DI MASSA.

Więc na koń, a nie żałuj go. Choć padnie potem—nic to!

CARRARO (do Bachia, który już odbiegł kilka kroków).

Stój, Bachio! (Do hr. Di Massy). Co to znaczy?

DI MASSA (stłumionym głosem).

Nie jestże obowiązkiem wiernego sługi odgadywać wolę pana? Wiem, że pragnęlibyście inny list posłać. (Po chwili). Wobec tej ruiny—w gruzy padły chyba wasze skrupuły. Te oczy wydarte...

CARRARO (z wybuchem).

Wróć mu je, wydarłszy sobie serce?

DI MASSA (stoi przez chwilę jak skamieniały, potem zbliża się gwałtownie i, zaglądając mu w oczy, głucho).

Kochasz księżniczkę? (Carraro milezy).

DI MASSA (rozgląda się obłędnie)

Bianca! Bianca! (Zatacza się, Carraro go podtrzymuje).

(Zastona)

Scena 4.

BIANCA i LUCIA. Sypialnia Bianki.

LUCIA.

Chyba o księcia Orvienny tak się niepokoisz, bo jego wysokości strzedz będzie całe wojsko, hrabiego zaś du Lieu—mury.

BIANCA.

Mury chronić będą wszystkich, ale nie jego.. Zresztą czy długo?

LUCIA.

Chciałabyś, żeby się krył za kamienie?

BIANCA.

Alboż ja wiem? Wiem tylko, że na nic ehce-
nie moje.

LUCIA.

Cóż bohaterowi takiemu stać się może?

BIANCA.

Powtarzam to sobie, a wnet strach mnie cł wy-
ta: nie wyzywamże losu? I myśl moja—niby motyl,
uwikłany w wir powietrzny.

LUCIA.

Przecie Bogu ufać powinnaś.

BIANCA.

Ufam, a drzę.

LUCIA.

Już teraz, cóż więc będzie potem?

BIANCA.

Prawda. Dziś mogę jeszcze powiedzieć sercu:
za kilka godzin go zobaczę, a pomimo to smutne, jak
grób ukochany.

LUCIA.

Otrząśnij się, Bianco, i raźniej spójrz na świat.
Zastanów się: za cóż Bóg miałby cię zasmucić?

BIANCA.

Ach, Lucio, ty nie wiesz, jakam ja zła.

LUCIA (ze śmiechem).

Ty? Ty?

BIANCA.

Nawet miłość złą jest we mnie. Jeszcze dziś nie mogę odgoryczyć serca po tem uczuciu nienawiści do margrabiny, że mi przeszkodziła wymknąć się wczoraj, nienawiści za jego niepokój, moją tęsknotę.

LUCIA.

Jabym ją była zabiła na twojem miejscu.

BIANCA.

Mówisz tak tylko, ale gdybyś wiedziała! gdybyś wiedziała!...

LUCIA.

Śmiałabym się jeszcze serdeczniej.

BIANCA.

Kiedym usłyszała, że ojciec z księciem Orvienny pójdą przodem na Sarmę, jego zostawiając w Leggio... Nie, to okropne! Nie mogę, nie mogę!...

LUCIA.

Powiedz, powiedz, Bianco!

BIANCA.

Dobrze, gardź mną, gardź, jestem warta. Po-

myślałam... ze strachem zazdrosnym pomyślałam: a może oni zwyciężą sami, jemu nie zostawiwszy ani na wieniec jeden sławy? Widzisz! widzisz!

LUCIA.

Biedna, biedna Bianco! biedna ptaszyno w wirze powietrzonym.

BIANCA.

Ale jemu nie powiedziałabym tego za nic! za nic! A może trzeba? Poco ma myśleć, żem dobra?

LUCIA.

Powiedz mu to, a gdyby nie ucałował stóp twoich, byłby dyszkantem kardynalskim, nie mężczyzną.

BIANCA.

Nie mów tak! nie mów!

LUCIA.

Patrząc na ciebie, nawet ja żałować zaczynam, że się wieści czy przecucia hrabiego du Lieu nie sprawdziły.

BIANCA.

Czemuż nie mogę przynajmniej, przebrana za pażia jak w romansach, iść za rycerzem swoim? Czyż się nie zdarzało, że paż sobą pana od ciosu zasłonił?

LUCIA.

Któryż rycerz z serea—zbroi tarczęby czynił!

BIANCA.

W samotności i spokoju sercem patrzeć bezradnie na tysiące niebezpieczeństw. Myśleć, że lada klinga bezrozumna, lada pocisk błędny!... I mogłam sobie wyobrazić — szalona! — że zniosę spokojnie jego odjazd!... (Po chwili). Lucio!

LUCIA.

Co, Bianco?

BIANCA.

Zdaje mi się, że mnie śledzą.

LUCIA.

Mnie się też zdaje.

BIANCA.

Lucio!

LUCIA.

Co, Bianco? (Bianca milczy). No co? Chcesz mnie o coś prosić, widzę. Prawda?

BIANCA.

Tak, tylko nie wiem, jak... jak powiedzieć...

LUCIA.

Od początku do końca, księżniczko moja!

BIANCA (błagalnie).

Chcesz mi uratować więcej, niż życie? Pomyśl, coby to było, gdybym go pożegnać nawet nie mogła!

LUCIA.

Cóż mam uczynić?

BIANCA.

Margrabina znów co chwila będzie do sypialni mojej zaglądała.

LUCIA.

Cóż na to poradzę?

BIANCA (po chwili walki wewnętrznej).

Przyjdź do mnie i... i połóż się do mego łóżka. (Prędko). Zakryjesz twarz... jak ja czasem... Dobrze? Dobrze?

LUCIA.

Bianko! I to ty? ty? ty, taka chytra?

Scena 5.

Przy altanie laweczka.

CARRARO i BIANCA siedzą przytuleni do siebie.

CARRARO.

Kochasz mnie, Bianco?

BIANCA.

Kocham, Giovanni.

CARRARO.

Bianco, do hasła—zapomnij, że to ostatnie chwile, i naprzekór losowi bądźmy, jak dawniej.

BIANCA.

Dobrze, Giovanni!

CARRARO (pochyliła się, zagląda jej w oczy i przedrzeźniając).

Dobrze, Giovanni.

BIANCA (machinalnie wzrusza głową, jakby z niej co strząsała).

Będziesz mnie tak kochał, jak dawniej?

CARRARO.

Nie, nie! (Bianca, drgnąwszy, zwraca się ku niemu).
Będę kochał więcej.

BIANCA (uwalniając się z objęcia).

Czyż chcąc, byś mnie kochał jaknajwięcej, muszę pragnąć, byś się oddalił jaknajbardziej?

CARRARO.

Czy bliski, czy daleki—codzień więcej kochać cię muszę. Miłość wzbiera w duszy mojej, jak wody wiosenne: przed chwilą widać jeszcze było jakieś wysypki, runią obcych myśli porośłe, i już ich niema. Uczucie, z którym szedłem tu przed kilku dniami, zdaje mi się dziś kagańcem wobec pożaru miasta. Codzień zasypiam, czując, że więcej już kochać nie można, by się obudzić z uczuciem, że wczoraj jeszcze nie umiałem kochać wcale.

BIANCA.

Tak! tak!

CARRARO.

Bianko, czyż wątpisz o mojem sercu?

BIANCA.

Nie, Giovanni.

CARRARO.

Czemużeś tak dziwnie powiedziała: „tak, tak!”

BIANCA.

O sobie myślałam. Ja też Kocham coraz bardziej.

CARRARO (znów ją przytula do siebie).

Bianko, ach! Bianco moja! Czegóż się martwisz? Przecie za dni kilkanaście wrócę, żeby się już nigdy z tobą nie rozstać.

BIANCA.

Wróc, Giovanni!

CARRARO.

Pada mi na serce smutek twój, jak rosa na liść. Nie z takich niebezpieczeństw wychodziłem cało! Idę, jak na zabawę, dlatego tylko nudną, że ciebie tam nie będzie. Gdybym mógł ztamtąd przylecieć nocną porą do stóp twoich, jak teraz, byłbym stokroć spokojniejszy tam, niż tu.

BIANCA.

Będziesz myślał o mnie czasem wśród zgiełku?

CARRARO.

Pytaj, czy zawsze usłyszę zgiełk wśród myśli o tobie! (Strzał. Carraro się zrywa).

BIANCA (zrywa się też, chwytając go rękami, jakby chciała zatrzymać).

Już! już! już!

CARRARO.

Bianko! Bianco! Bądź o mnie spokojna! Ulituj się!...

BIANCA (szybko).

Będiesz mnie kochał, Giovanni? Kochaj mnie!
Jam niewarta, ale kocham i jestem twoja.

CARRARO.

Wszystkie myśli moje, jak stada ptactwa od zi-
my, lecieć będą ku tobie, wiosnie mojej!

BIANCA (wskazując serce).

Zamknę je tu—do klatki.

CARRARO.

Bądź zdrowa, gołąbko moja!

BIANCA.

Giovanni! Pamiętaj: w twojej piersi i moje ży-
cie. Naróżaj się tyle, ilebyś mnie chciał narazić.

CARRARO.

Mam więc zostać w Molenie?

BIANCA.

Nie szukaj niebezpieczeństwa.

CARRARO.

Nie myśl o tem, Bianco! Wierz: tam będę bez-
pieczniejszy, niż tu byłem. Bądź mi zdrowa i spokoj-
na a tylko módl się za mnie.

BIANCA.

Jeszcze miałam ci powiedzieć..! Wszystko wypadło z pamięci. Przekłęta wojna! Dotychczas gwałtem w objęciach mnie zatrzymywałeś, a teraz z moich gwałtem się wyrывasz.

CARRARO

Bianko, Bianco! Idę walczyć za córkę i za wnuczątko swoje. (Długi uścisk).

BIANCA (puszczając go).

Idź! idź! (Znów go obejmuje). Idź, mój piękny! Idź, mój dobry! idź, mój miły, idź, mój jedyny! idź, ukochany mój! Nie, nie! Chciałabym ci powiedzieć coś piękniejszego, niż piękny, lepszego, niż dobry, miłszego, niż miły, droższego, niż jedyny, czulszego, niż ukochany. Ach wiem: Giovanni! (Całuje go i wybiega).

CARRARO (robi parę kroków za nią. Zatrzymuje się przez chwilę i wybiega w stronę przeciwną).

BIANCA (wraca).

Niema!... Giovanni! (Biegnie za nim).

Giovanni! (Słychać za sceną). Giovanni! (Po chwili wraca).

Niema! niema!

(Pada na ziemię przy ławeczce i, oparłszy głowę na rękę, wybucha łkaniem).

AKT V.

Scena I.

Na zamku. KSIAŻE, LAPI, margrabina MALFI (wchodzi).

KSIAŻE (chodzi po pokoju i, nie patrząc, odpowiada na jej ukłon).

No, cóż tam Białca, margrabino? Nietęgo mi jej coś pilnujecie.

MALFI (ogromnie wzruszona, sapiąc, przerywanym głosem).

Obowiązek wierności... Aczkolwiek straszno sercu ojcowskiemu zadać taki cios...

KSIAŻE (zatrzymując się przed nią).

Co? co?

MALFI.

Oddawna mówię, że wpływ Lucii... Ach, czemuż kto inny... (Spogląda ku Lapiemu).

KSIAŻĘ.

Co się stało? Gadajcież, do stu dyabłów.

MALFI (składa ręce).

Powiem, powiem wszystko, choćby mi serce miało... (Książę się niecierpliwi). Jej wysokość była wciąż nadzwyczaj... O, mój Boże... i często płakała i modliła się. Przesłuchiwała... O, Madona, Madona!... każdego gońca, aż wreszcie raz... O najśłodsze imię Jezus!...

KSIAŻĘ (tupiąc nogą).

A, milion dyabłów!...

MALFI.

Zaraz, zaraz, wasza wysokość, właśnie do tego...

KSIAŻĘ (niecierpliwi się).

MALFI.

Otóż kiedy goniec ów powiedział, że... że hrabia du Lieu... O, wielki Boże ojców moich, dodaj mi!...

KSIAŻĘ (przyskakując z wścickłością).

Czy do szaleństwa chcecie mnie doprowadzić?

MAIFI.

Ach! ach! (Mdleje).

KSIAŻĘ.

Masz dyable kaftan! (Klaszcze na służbę). Co się tam z Bianką stało? (Chce wyjść).

LAPI.

Nic, coby już waszej wysokości w części najważniejszej nie było wiadome.

KSIAŻĘ (zatrzymuje się i zwraca ku niemu).

Że cna się kocha w tym bohaterze z Francyi czy z piekła? (Do służby). Wynieście do licha tę babę! (Do Lapiego po wyjściu służby). Plotleś mi ni to, ni owo jeszcze przed pochodem i nudziłeś potem stale głupimi domysłami, półsłówkami i wiadomościami. Gdyby ta miłość rosła w rzeczywistości tak, jak w twoich gawędach... Ale mów, jeżeli wiesz, co się tu takiego okropnego stało?

LAPI.

Jej wysokość, którą niepokój niesłychany trawił nieustannie, usłyszawszy, że hrabia du Lieu otrzymał postrzał w piersi, zerwała się bez tchu i bez pamięci, i, odpychając wszystkich, wybiegła z pokoju i pałacu, aż przy bramie padła. Przyniesiono omdlałą, ocuco-

no i uratowano... listem samego hrabiego du Lieu, przesłanym potajemnie przez tegoż gońca na ręce Lucii Comarli.

KSIAŻĘ.

Do Bianki?

LAPI.

List był, zdaje się, do jej wysokości.

KSIAŻĘ.

A, do kata! Jemu się zdaje! I to Bianca, Bianca!... Czy aby tylko nie bajkami mnie karmicie?

LAPI.

Śmiałżebym?

KSIAŻĘ.

Więc dla mnie i dla Moleuy mogła się modlić, a dla tego przybłądy umrzeć nawet. I hoduje tu córki!... Ach, syn, syn!... To już przechodzi wszelką miarę. (Znowu chodzi). To wymaga...

LAPI.

Dodać należy, że od owego czasu zdrowie jej wysokości bardzo jest niepewne: znowu coś z sercem. Sosio, jakem już wspominał waszej wysokości, zalecił spokój, szczególnie zaś unikanie przykrych wzruszeń.

KSIĄŻĘ.

Ty lisie, lisie stary! Jak śmiesz prowadzić mnie, niby dziecko na pasku.

LAPI.

Czyż ma wasza wysokość sługę wierniejszego?

KSIĄŻĘ.

Sługę—od wodzenia za nos pana. I ręczę, żeś wiedział o tem wszystkim oddawna?

LAPI.

Miałemże bez pożytku zakłócać, lub pozwolić zakłócać spokój ducha i odrywać gwałtownie uwagę waszej wysokości od spraw najwyższej wagi? Nie ukryłem jednak treści rzeczy. Wspomniałem nawet kiedyś ogólnikowo o tem wzruszeniu.

KSIĄŻĘ.

On poprostu gra na mnie!.. Prawda, przygotowałeś mnie—i nietylko do wieści, ale też do postanowień. Śmiałybym się sprzeciwić twojej woli?

LAPI.

Wolą moją jest wola waszej wysokości, mojem zaś własnem jest tylko pragnienie szczęścia i sławy książąt Moleny.

KSIAŻĘ (chodząc i przystając).

Jakiś cudzoziemiec, o którym nikt nic nie sły-
szał?... Może awanturnik pospolity. Zapewne, wy-
gląda na wielkiego pana... Jak myślisz?

LAPI.

Lud ma go za swego.

KSIAŻĘ.

I wita—bodajby go dyabli wzięli!—goręcej niż
mnie, a witałyby jeszcze goręcej tego zdrajcę... (Znowu
chodzi). Przechwała się jakąś kroplą krwi włoskiej...

LAPI (półgłosem).

Byleby jej nie za dużo w nim było.

KSIAŻĘ (zatrzymując się).

Co tam mruyczysz? Będziesz mnie zagadkami
bawił? Nie wiem, kiedy miałeś czas widywać matkę
jego z Włochami, pewną jednak jest rzeczą, że się
ten Francuz boi ciebie, jak ognia, i unika—jak mnie
samego poza polem bitwy.

LAPI.

Kraj cały...

KSIAŻĘ.

Nie zawracaj mi głowy głupstwami: przecie nie

odezwę do ludu dyktujesz. Jeżeli ta błaźnica naprawdę... I tak źle, i tak nie dobrze. To mi dopiero ćwiek!... W każdym razie tę Lucię...

LAPI.

Jej wysokość bardzo ją lubi.

KSIĄŻĘ.

A tak! a tak! Wiesz co, stary? Gdybym się tylko mógł obyć bez ciebie, powiesiłbym cię własnoręcznie.

LAPI.

Za co?

KSIĄŻĘ.

Za tę twoją chytrą. Prawda, Bianka jej tknąć nie da. I pomyśleć, że jestem niby księciem potężnym... Więc gadajże nareszcie, do licha!

LAPI.

Co mam mówić?

KSIĄŻĘ.

Co robić?

LAPI.

Wasza wysokość najlepiej rzecz tę zdecydować może.

KSIAŻĘ.

Naturalnie, jakieś już sam zdecydował i nakręcił mnie według swego widzimisień. I ten osioł Sosio powiada—bodajby go dyabli wzięli... Niema co, piękne powitanie zwycięzcy w stolicy jego.

LAPI.

Oczywiście, groźnego nic a nic niema.

KSIAŻĘ.

Ja myślę. W każdym razie co do tego Francuza... (Urywa).

LAPI.

Zdaje mi się, że zawdzięczamy mu trochę...

KSIAŻĘ (ironicznie).

Zdaje się!... Trochę...

LAPI.

I niemniej zawdzięczać możemy w przyszłości. Dla takiego tarana niema murów.

KSIAŻĘ.

To też on żyje, choć wojna skończona. To też nadam mu wszystkie dobra tego zdrajcy. Ale co zrobić z dziewczyną szaloną? I jeszcze ten idyota

Sosio!.. Boję się iść do niej zaraz, żeby jej nie wzruszyć zbyt gwałtownie. (Zaczyna chodzić i zatrzymując się nagle) Idźże ją przygotować—to przecie twoje powołanie.

LAPI.

Do czego właściwie mam przygotować jej wysokość?

KSIĄŻĘ.

Jakto „do czego“. Będziemy zwlekali ile się da, a tam jakoś się może coś wykręci... Ale do wieści pomyslnych, oczywiście.

LAPI.

Do jakich mianowicie, wasza wysokość?

KSIĄŻĘ (Zatrzymując się i gestykulując).

Otóż i macie go! O! o! Dać mu zaraz czarno na białem. On się nie domyśla, nie rozumie. Do jakich mianowicie?!.. Trzeba mu wytłumaczyć, że się obawiam nagłej radości—jeżeli to wszystko prawda! —bo (z naciskiem) maszynka jest nakręcona na przyrzeczenie awanturnikowi francuskiemu córki i spadkobierczyni księcia Moleny.

Scena 2.

Sala tronowa na zamku.

SZLACHCIC 1 (wskazując Carrara).

Blady, jak trup: mocno mu chyba rana dolega.

SZLACHCIC 2.

Markotny może, bo księżniczki jeszcze po powrocie nie widział: chora podobno.

SZLACHCIC 3.

W każdym razie nie wygląda na człowieka, który otrzyma za chwilę największe dobra w księstwie.

SZLACHCIC 4.

Wraz z księżniczką.

SZLACHCIC 1.

Przy nadziei... na spadek...

SZLACHCIC 2.

Szczęście, żeś dodał, bo myślałem już, że masz dokładniejsze wiadomości o zdrowiu księżniczki.

SZLACHCIC 3.

No, no! Nie bądź aby za dowcipny.

SZLACHCIC 2.

Myślisz, że wypadki nie chodzą... nawet po księżniczkach? (Mówi mu coś do ucha).

SZLACHCIC 3.

Co za głupstwa! Nasza księżniczka? Wiecie, takiego łgarza, jak nasz Antonio...

SZLACHCIC 5.

Głowę dam na odcięcie, że on umyślnie sobie rękę prawą skaleczył, żeby na wojnę nie pójść.

SZLACHCIC 3.

Cóż chcesz? Skoro jego przyjaciel di Massa dla bezpieczeństwa melancholii dostał...

SZLACHCIC 1.

A ten Polak przy Francuzie ma minę wściekłego odyńca.

SZLACHCIC 5 (zbliżając się).

Widzicie tych mnichów?

SZLACHCIC 3.

Więc cóż? Deputacya powiarszowalno - dziękczynna od klasztoru w Leggio. Są przecie i mieszczanie, i...

SZLACHCIC 5.

Ale kto na jej czele?

SZLACHCIC 4

Ojciec Vicencio? Zdaje się chory. Nie wi-
dać...

SZLACHCIC 5.

Ojciec Paolo, były Mattea Roselli!

SZLACHCIC 1.

Co ty pleciesz! Na czele deputacyi? Ojciec!
Nawet nowicyatu nie odbył!...

SZLACHCIC 5.

Myślicie, żem się sam nie zdziwił? Papież po-
dobno wzywał go z obrazem do Rzymu, namawiał do
pozostania przy stolicy jego, chciał tę Madonę za-
trzymać, aż wreszcie wzruszony czy znudzony proś-
bami i uporem — odesłał go z powrotem, skracając
czas nowicyatu i pozwalając na przyjęcie wszystkich
święceń— czy jak tam?— natychmiast.

SZLACHCIC 3.

Co za bajdy! Przecie...

SZLACHCIC 5.

Powiadają, że zna teologię i rytuał, jak kardya-
nał. Jakiś przyszły święty...

SZLACHCIC 2.

Był zawsze... tureckim.

SZLACHCIC 5.

W klasztorze wodę nosi, drwa rąbie, najniższe posługi pełni, jak najniższy nowicyusz, choć...

SZLACHCIC 1.

Cicho! cicho! (Wchodzi ksiązę z głębi z lewej strony i zbliża się do tronu).

DOWMUNT (bystro do Carrara szeptem)

Ludzie i konie w pogotowiu, a znajdą się i na tej sali. .

CARRARO (tak samo).

Przecie bronić się ani uciekać nie myślę. Więcejbyś mi dodał otuchy obietnicą, że mnie przebijesz natychmiast, jeżeli tylko...

DOWMUNT.

Może... może nie mów! Może... może uciekać...

CARRARO.

Kłamać jej całe życie? I żyć pod ciągłą groźbą. Tylu ludzi znało mnie pod innymi nazwiskami.

Lapi patrzy na mnie tak badawczo... Boję się też tego di Massa: może się zbudzić z odrętwienia. Jeżeli zaś dziś nawet, po tem wszystkim i wobec wszystkich... A gdyby zapytała: „pocóż mnie masz porywać, kiedy ci mnie dają?...“

KSIĄŻĘ (z tronu).

Hrabio Janie du Dieu! (Carraro się zbliża. Dowmunt o krok za nim). Niema potrzeby wyliczać tu czynów twoich bohaterskich: znane są one nietylko tym rycerzom szlachetnym, lecz i wszystkim stanom kraju. Co mówię? Cała Italia pełna jest odgłosu twojej sławy. Wszędy pod jej niebem brzmią już pieśni o cudzoziemcu, którego głowie i prawicy zawdzięczam państwo i życie, o mężu wielkiego serca, który z rozbitków i zbiegów uczynił zwycięzców i tryumfatorów. Świat wie, coś zrobił dla mnie i dla Moleny, niechże się więc dowie o mojej wdzięczności. Proś, lepiej powiem: żądaj — czego chcesz, a jakkolwiek śmiałem mogłoby się to żądanie zdawać światu i tobie samemu — zostanie ono natychmiast spełnione, skoro tylko będzie w mojej mocy. Daję na to słowo szlachcica i księcia. (Carraro milczy). Mów więc, czego chcesz, hrabio i przyjacielu? Czego chcesz — jest twojem. (Po chwili). Widzę wzruszenie twoje, hrabio. Czyż cię wśród przyjaciół opuszcza odwaga, którą przerażałeś wrogów? Powtarzam:

czego chcesz — jest twojem. (Z naciskiem). Choćbyś krwi mojej żądał. (Z uśmiechem po chwili). Mamże odgadywać?

CARRARO (przyklęka i chyląc głowę).

Przebaczenia, o panie!

KSIĄŻĘ (wciąż uśmiechnięty).

Przebaczenia? Cóż ci mam przebaczyć? Czy to, żeś kosztem krwi własnej mężstwem nadludzkim i siłą olbrzyma wyrwał mnie z rąk nieprzyjacielskich, ratując życie i koronę, i droższą nade wszystko cześć? Pamiętaj, hrabio, że władców rodzą niezawsze zrodzeni przez władców. Pamiętaj o mojem słowie, a gorące pragnienie szlachetnego serca twego przestanie ci się zbrodnią zdawać. Nie każże mi narzucać się ze skarbem swym najdroższym: zapewniam cię, że kochając cię tak, jak kocham, nie potrafiłbym ani się dziwić, ani stawiać przeszkód niczyjej miłości dla ciebie. Wstań, hrabio!

CARRARO.

Nie myśl zbyt śmiała, lecz czyn straszny ciężarem swym do stóp twych mnie ściele.

KSIĄŻĘ.

Cóż mi do dalekich czynów twoich? Dość mi tych, na które patrzyłem. Nie mogę sobie wyobra-

zić występku w uosobieniu prawości rycerskiej. Zre-
szta powiedz mi, kogo skrzywdziłeś, żebym go znie-
nawidził. Gdybyś był największym zbrodniarzem
świata, należałoby ci prosić o przebaczenie tych, co
potrafiliby cię ukarać choć gniewnem spojrzeniem,
ale mój wzrok, jak i serce, i dłoń, tylko wdzięczność
dla ciebie tłómaczyć umie. Wstań, hrabio!

CARRARO.

O panie! Ileż jest czynów, za które kara ściga
aż do mogiły, choć serce zbrodniarza tyleż winne by-
ło przed Bogiem, co i miecz. Ale niech zemsta ślepa
nie będzie przewodnikiem sprawiedliwości twojej,
o panie! Niech wspaniałomyślność twa nie idzie śla-
dem nieubłaganego losu, który ongi, za występki
mimowolne, skazał owego Greka wielkiej boleści na
tułactwo wieczne w dali od ogniska domowego. Przy-
najmniej ten na ziemi rodzinnej szukał drzewa świę-
tego, by w cieniu jego na sen dobry złożyć skołataną
głowę, a ja—tułacz po obczyźnie chłodnej. Wasza
wysokość! Otom rycerz surowy, ale łzy tęsknoty do
kraju zmyły już dawno krew, co zboczyła te ręce.
Pod mianem zmyślonem, samotny i obcy wszystkim,
latami bólu i zgryzoty okupiłem chwilę uniesienia...
Zabij, lub przebacz!

KSIĄŻĘ.

Co za chaos! Zbrodnia?.. Krew?.. Zmyślane
miano?... Nic, nie rozumiem, bo jeśli przychodzi mi

do szalejącej głowy słowo zagadki, to bezrozumniejsze od bezrozumu samego. Kto jesteście?

CARRARO.

Carlo Carraro.

KSIAŻĘ (zrywa się i rzuca ku niemu, chwytając za szpadę).

Łżesz!

CARRARO (zrywa się też, z ręką na rękojeści).

Łgę? Ja łgę?

KSIAŻĘ (cofa się i chwyta za głowę).

Boże! Co to? Co się ze mną dzieje? (Do Carrara po chwili). Widzicie, mnie to sędzono prosić was o przebaczenie: przebaczcie mi, hrabio, ten krzyk szalony. To tylko powietrze obraziło słuch wasz, nie serce moje. Oczywiście to niepodobieństwo: to tak przeczy... przeczy wszystkiemu, jak słońce—nocy, nie należało mi więc obruszać się tak gwałtownie na żart, niepojęty i nie do pojęcia okrutny, ale żart hrabiego Jana du Lieu. Powiedz: była to próba. Jakiś zdrajca powiedział ci o straszliwej a wiecznie rozwartej krwawo ranie mego serca, i przyszła ci fantazya zmierzyć ogrom swej zasługi ogromem owej zbrodni. Hrabio! Przyjacielu i bracie! Człowiek,

którego nazwałeś, dla zgnitego żebraka zamordował radość oczu moich, oporę starości moje i nadzieję kraju. Świat nie posiada dobra, któreby mogło przeważać to złe. Hrabio Janie du Lieu! Tak: Janie du Lieu! Umysł mój się miesza. Zaprzecz temu, coś powiedział, bo... bo ci wierzę. Wyteżam wolę rozsądek, ale jak wilk owce dusi je bezr zum. Cała moja istota buntuje się przeciw tej wierze, ale drgając, jak przepiórka w szponach jastrzębich. Powiedz jednak, że to był żart, i znowu ci uwierzę, a przebacząc go, dam dowód, że cię cenię ponad świat cały! Powiedz: próba, a przebaczę i zapomnę. Hrabio Janie du Lieu! Słyszysz? Janie du Lieu! Powiedz, że nie należysz do tego żmijowego rodu.

CARRARO (z wściekłością).

Ach! (Opanowując się, z dumną ironią). Żmijowego? Zapewne, ukąszenia jego śmiertelne. Podłego? Kiedy moje przodki — stare pany tej starej Moleny — z dźwiękiem surm bojowych szły lać krew za grób Chrystusa, wasze — przygrywały owcom na dudkach.

KSIĄŻĘ.

Nikczemu!ku!

CARRARO (dobywa szpady i rzuca się ku niemu z krzykiem).

A-a-a! (Książę cofa się gwałtownie. Lapi i naj-

bliżsi uprowadzają go śpiesznie wśród chaosu: wszystkie szpady obnażone, niewiadomo przeciw komu lub za kogo. Carraro ogląda się dziko i rzuca to w tę, to w ową stronę, jakby szukając ofiary: wszyscy się przed nim rozstępują. Wreszcie wybiega. Za nim Dowmunt i innych wielu).

Scena 3.

Po prawej stronie sceny siedzi książę z głową zwieszoną na piersi).

LAPI (wchodząc i zbliżając się).

Wasza wysokość! (Głośniej) Wasza wysokość!

KSIĄŻĘ (podnosząc głowę).

A! To ty?

LAPI.

W pokoju sąsiednim...

KSIĄŻĘ (jednocześnie).

To dziwne! to dziwne!

LAPI.

Co dziwnem jest, panie?

KSIAŻĘ.

Bywali przecie gorsi odemnie królowie i książęta, a nawet papieże.

LAPI.

Niekiedy Bóg doświadcza tylko klęskami.

KSIAŻĘ (machinalnie).

Myślisz, że doświadcza? (Zamyśla się znów).

LAPI.

Wasza wysokość!

KSIAŻĘ.

No? Czegóż tam znów?

LAPI.

Komendant zamku i naczelnik miasta pragną koniecznie widzieć waszą wysokość dla zdania sprawy z biegu wypadków i naradzenia się nad bezpieczeństwem waszej osoby. (Książę milczy). Czeka ją w sąsiednim pokoju, czy mogą wejść?

KSIAŻĘ.

Jeżeli taki mędrzec, jak Sosio, ręczy tylko za to, że mój widok natychmiastby ją zabił, znaczy koniec, koniec! Choćbym krzyczał, rozkazywał, klął, miotał się i modlił—Bóg mi ją zabierze. A niech tam!...

LAPI.

Wasza wysokość, ale Carraro...

KSIAŻĘ (zrywając się i chwytając go za piersi).

Co? co? zdrajco!

LAPI.

Panie! panie!

KSIAŻĘ (puszcza go).

Ach, to ty! Wybacz, przyjacielu! Zdaje się, że mi się coś temi dniami tu (wskazuje głowę) popsulo. Od tylu lat mają mnie ludzie za waryata: ano, wyróżyli. (Opada na fotel).

LAPI.

Błagam waszą wysokość...

KSIAŻĘ.

I czegoż jeszcze chcesz?

LAPI.

Komendanci zamku i miasta, wobec strasznych okoliczności, proszą, byś ich przyjął niezwłocznie i wysłuchał.

KSIĄŻĘ.

Komendanci? Straszne okoliczności? Niech wejdą! (Z uśmiechem). Oczywiście komendanci, nie okoliczności, bo te obywają się bez mego pozwolenia.

LAPI (otwiera drzwi z lewej strony tuż przy scenie).

Panowie, jego wysokość raczy was przyjąć. (Wchodzą komendanci).

KOMENDANT MIASTA (cicho do Lapiego).

Jak to powiedzieć? Przecie to zabije...

LAPI.

Prędzej uleczy: czasem trucizna truciznę pobija. Nie wymawiajcie tylko imienia: Carraro.

KOMENDANT ZAMKU.

Wreszcie niewolno nam milczeć.

LAPI.

Mówcie wszystko, może choć to wyrwie jego wysokość z tej rozpaczy głuchej. (Zbliżając się do księcia). Wasza wysokość: ci panowie już są.

KSIĄŻĘ (drgnąwszy).

Panowie? (Odwraca głowę) A! (odpowiada na ukłon).

LAPI.

Zbliżcie się, panowie. Jego wysokość pragnie się dowiedzieć o stanie rzeczy i wysłuchać zdania waszego o środkach ratunku. Mówcie wszystko otwarcie.

KOMENDANT ZAMKU.

Smielizbysmy prawdę, choć okropną, tać przed panem naszym?!

KSIĄŻĘ.

A któż jest panem waszym?

KOMENDANT ZAMKU.

Któż, jeśli nie jego wysokość, książę Moleny.

KSIĄŻĘ.

Zmienicie więc jutro pana wraz z bielizną. (Głowa mu znów opada na piersi).

KOMENDANT MIASTA.

Prawego pana swego widzieć zawsze będę w osobie waszej wysokości!

KSIĄŻĘ (machinalnie).

Myślisz, że zawsze będziesz w osobie?..

KOMENDANT MIASTA.

I głowę dam za czapkę książęcą waszej wysokości.

KSIĄŻĘ.

Nie jestże głupim ród ludzki w najszlachetniejszych nawet uczuciach swoich: głowę za czapkę!

KOMENDANT ZAMKU.

Nie śmiemy ukrywać, że pozycja nasza wielu mogłaby się zdawać rozpaczliwą. Comarli rozbity i zabity nawet, jak mówią niektórzy. Wszystkie inne oddziały przeszły...

KSIĄŻĘ.

Głowę za czapkę!

LAPI.

Racz wysłuchać, panie!

KSIĄŻĘ.

Ach, prawda! Wciąż wam przerywam, szlachetni panowie. Wiecie jednak, że starycy stają się w końcu dziećmi, dzieci zaś zawsze bywają roztrągnięte.

KOMENDANT MIASTA.

Ludności w korbach już utrzymać niepodobna.

Czy nie byłoby więc lepiej wprowadzić niezwłocznie do zamku wszystkich, co trwają jeszcze w wierności, aczkolwiek z podelbą patrzącej i pomrukującej pod nosem... nietylko własnym. Wątpliwości nie ulega, że zaraza buntu, jak to bywa zawsze w takich wypadkach...

KSIAŻĘ.

Nie, nie zawsze, nie wszystkie. Bianca stanowiła wyjątek. Jak ta dziecina słodka umiała słuchać! Kiedy jej coś tłumaczono, na boskiem czole aż zmarszczka się malutka tworzyła. Mam przed oczyma!... (Do Lapiego). Pamiętasz, brałem często na kolana dziewczątko swoje jedyne i opowiadałem bajki. Są głupcy, dla których czarnym oczom brak wyrazu. Zapewne, kto czytać nie umie, najwyraźniejszego nawet pisma nie zrozumie. Ja znajdowałem zawsze w tych cudnych oczętach odbicie całego ciągu swoich zmyśleń, jak w jeziorze — odbicie obłoczków wędrownych. Rycerz wchodzi do zamku zaczął rowanego: co za bezmiar ciekawości i zdziwienia! Czarodziej — wielkolud, dostrzegłszy gościa nieproszonego, zgubę mu niechybną gotuje: co za błaganie przerażone o ratunek dla bohatera. Lecz oto wróg podły czołga się w pyle u nóg zwycięzcy, rykiem żebrząc o życie, i w jej oczach litość i wzdarda walczą ze sobą, zaćmiewając nawet radość tryumfu. Rycerz dla obowiązku i niebezpieczeństw żęgła damę: patrz na morze smut-

ku w tej łzawej źrenicy. A oto i ostatecznie beznadziejne pożegnanie, i z tych dwóch dyamentów — co mówię? słońce — niby krople światła toczą się gradem łzy. I dziś te oczy gasną! I mnie, którego nędzemu istnieniu księżęcemu one jedyne przyświecały, wolno tylko jęczeć bezradnie: nawet spojrzeć niewolno! To straszne! to straszne! (Zakrywa oczy rękami) Ach, jakie to straszne!

LAPI.

Boże! Rzuć na moje barki połowę jego krzyża!
(Do księcia) Panie, panie! Otrząśnij się z tych myśli. Moze się Bóg nad tobą ulituje i nie zabierze światła twoich oczu.

KSIĄŻĘ (bezmyślnie).

Myślisz, że nie zabierze?

LAPI.

A teraz wysłuchaj ich, panie, i wydaj rozkazy. Wszyscy czekają na twoje słowo. Niema chwili do stracenia, a nikt na siebie odpowiedzialności wziąć nie chce.

KOMENDANT MIASTA.

Za parę godzin wróg będzie tu.

KSIĄŻĘ (obojętnie).

Za parę godzin dopiero?

KOMENDANT ZAMKU.

Trzeba więc zdecydować natychmiast, czy mamy bronić się za nędzemi murami zamku, z załogą niepewną i otoczeni ludnością zbuntowaną a pozbawieni zapasów żywności, czy wejść w układy... z nieprzyjacielem o warunki poddania się, czy wreszcie rzucić wszystko, póki czas, i szukać ratunku w ucieczce i pomocy obcej?

KOMENDANT MIASTA.

Co rozkażesz, panie?

KSIAŻĘ (do Lapiego).

Poślij do Medyolanu po tego Araba cudotwórcę: dam mu pół państwa, niech ją tylko...

LAPI.

Panie, panie! Z tej właśnie strony zaczął ściskać Molenę pierścień śmiertelny. Rozjazdy nieprzyjacielskie tuż. Na tysiąc kroków niktby na północ od miasta nie odjechał.

KSIAŻĘ.

Prawda, prawda. Ktoś mi to już, zdaje się, mówił. Zresztą na nicby się nie przydało...

LAPI.

Zbierz myśli, o panie, i decyduj, co robić.

KSIĄŻĘ.

Zebrać myśli? Kiedy takie ciężkie ..

KOMENDANT ZAMKU.

Mamyż czekać bezczynnie?

KOMENDANT MIASTA.

Co robić, wasza wysokość, co robić?

KSIĄŻĘ (wstając).

Róbcie co chcecie... w moim imieniu. Niewiele
warte, bo się nie nazywam... Lucyperem chociażby.
(Odchodzi i wraca ode drzwi, jakby chciał coś powiedzieć,
i machnąwszy ręką) Prawda! Przecie ona musi umrzeć.
Może to i lepiej nawet? Tak, napewno lepiej (wy-
chodząc) daleko lepiej, o! daleko lepiej!...

Scena 4.

BIANCA i LUCIA.

BIANCA (w fotelu, patrząc ku oknu).

Nawet gołębie, zaniedbane, zapomniały o mojem
oknie. Ten biedny Sosio, chcąc pocieszyć, straszy
mnie wciąż, że żyć będę. Jeżeli nam umrzeć, przy-

leci zaraz biały bez skazy: oto on! Jeżeli mam żyć—
odleci. Poczciwie pta-szę: jak się przymila, zagląda.
A teraz, jeżeli mam umrzeć naprawdę — odleć na-
tychmiast mój biały: i już go niema! (Cicho) Gołąbko
moja biała!

LUCIA.

Poco to? poco?

BIANCA.

Tysiące wrózb.

LUCIA.

Możnaż się tak dręczyć?

BIANCA.

Alboż to udręczenie? Pociecha. Wtedy się nie
tak myśli, nie tak czuje. To dla rozrywki, żeby przed
czasem...

LUCIA.

Wierzyszże bardziej głupiemu ptakowi, niż
męłrcowi.

BIANCA.

Ptak jest szczery, a mędrzec... się lituje.

LUCIA.

Jesteś taka młoda.

BIANCA.

Och, nie latami mierz wiek mój. Mogłażbym żyć? Gdzież dla mnie miejsce na ziemi? Do czegożbym ręce wyciągnęła? (Po chwili ciszej). Byłabym złą mniszką. (Ciężej oddycha). A do niego?.. Przez to morze krwi? Trzeba, trzeba... (Po chwili) Raz pływaka dzielnego porwał wśród morza strach nagły: wnet ruchy rąk i nóg skłóciły się z oddechem, chaos owładnął ciałem i duszą, i woda zalala płuca. Wytężył wolę, strach skuł jej obręczem—i dopłynął. Jam wśród odmętu rozpaczy. Kiedy myśl, że to jeszcze nie koniec, przesyje mi duszę, jak błyskawica przeobrażenia, czuję, że ginę, tak ginę, że niczem sto śmierci zwykłych. Ale wnet wyteżam wiarę, i znowum spokojna. Ona, co góry przenosi, miałażby nie dać rady tej iskierce nikłej?... Ani z nim, ani bez niego... Wierzę i jestem jak ów pływak—przy samym brzegu. Odmęt rozpaczy za mną!... Byleby nie zawczasie...

LUCIA.

Bianko! Przecie on ciebie nie przeżyje.

BIANCA.

Ach, tylko ja! tylko ja! (Zająkliwie) Dlatego chcę... chcę... widzieć... zakląć... (Kładąc ręce na sercu)

Cicho, cicho, ptaku! wnet ci klatkę otworzą. (Po chwili szybko) Jeżeli sądzono mi umrzeć, nie zobaczywszy go, niech mój błękitnoskrzydły... (Z przerażeniem). Jest, jest! (Opada w głąb fotelu, przymykając oczy Po chwili bardzo cicho). Może i lepiej. Boża wola zawsze najlepsza. To pokuta za... Kto wie, coby się stało. Może tak lepiej. Więc znaczy lada godzina... Powiedz mu— i ojciec Paolo... Powiedz mu tak: „Twoja Bianca umarła, błogosławiąc cię, kochając i blagając, byś szedł na Maltę...” Nie nie! Wyraz „umarła” postaw na końcu, bo po nim możeby już nie nie usłyszał. Powiedz tak: twoja Bianca... Rozumiesz?

LUCIA. (Kłęka i, oparłszy głowę o jej kolana, wybucha płaczem).

BIANCA (głaszcząc jej włosy).

Cicho, nie płacz! (Nagle, odrywając rękę i zakrywając twarz dłońmi). Ach! (Opuszczając ręce). Taki dobry!... Boś ty dobry, nie zapieraj się. Kto biedne narzeczone wyposaża, nędzarzy obdarza a nawet... Kto cudze długie płaci? Kto gotów za każdego głowę nadstawić? I kto miał tyle serca dla swojej białej gołąbki, kto bił się za nią... przeciw samemu sobie? I czemu ty, taki dobry, takich strasznych rzeczy musisz dokonywać? Musisz! Chyba niema sprawiedliwości! (Szybko) Jest, jest, napewno jest! Wierzę, wierzę, tylko nie rozumiem. Czyż za słowo zwątpienia?...

Nie, nie! (Po chwili) Ojciec Paolo... dziwny mnich... Jak każde słowo jego zapada w duszę, krzepi... „Ten, kto, dawszy moc cedrowi, burzy daje siłę do złamania go, będzie miał miłosierdzie nad duszami naszymi“ I rozumie, że młoda dziewczyna. I nie mówi o życiu. Pewno wie, że w ciszy klasztornej modlitwy nawet moje poszalałyby!.. Ale on w szale bitw znajduje ciszę. Przepowiedział, że go sama... Ale jakże inaczej, jakże inaczej!.. Powiesz mu? Przysięgnij!

LUCIA.

Przysięgam.

BIANCA (gwałtownie).

Czy ty myślisz, że nie pragnę szczęścia?... Że nie chciałabym żyć? Ach, Giovanni mój! Giovianni! Giovanni! (Nagle z przerażeniem) Carlo!...

Scena 5.

Pokój księcia następcy. Przez otwarte drzwi ukazują się Księżę i Lapi.

LAPI.

I ja z tobą, panie.

KSIĄŻĘ (po chwili wahania).

Ano, chodź, kiedy chcesz. (Do portretu). No cóż chłopcze, dziwisz się? Dawnośmy się w dzień widzieli, ale dziś do północy czekać zadługo: pilno mi do ciebie. Ho, ho, o północy będziem już może na dobre razem. Byleby nas przynajmniej w sąsiedztwie ulokowano. Przebacz, książę, żem ci też poraz pierwszy gościa wprowadził. (Wskazuje za siebie). Ale to też nasz. Zresztą słyszałeś: nie chciał odejść, a jakoś zawsze rażmej... Przegraliśmy i idziem do ciebie. (Opada na krzesło naprzeciw portretu przy stole. Patrzy przez chwilę na portret i kiwa głową) Książę! Coś ty za książę? Zdetronizowany! Marnie mi wyglądasz! Ze złości czy ze zmartwienia? Tak, tak! przegraliśmy, chłopcze, przez nią przegraliśmy: pewno się wciąż modliła za kochanka. Ale dajmy jej pokój: ma ona też za swoje. (Nagle bystro patrząc mu w oczy) A możeś to ty przez zemstę nasłał na nią tę miłość przekłątą? Ej, słuchaj! Łba nie czuję już, tak nim wciąż tłukę o podłogę za tę dziurę (wskazuje na portrecie), ale zrobiłbym ci ich tyle, ile razy moje siwe włosy dotknęły tu przed tobą ziemi! (Po chwili spokojnie). I poco się mamy kłócić, kiedy wszyscy ginemy razem... (Szeptem) Ach, nie! nie razem! Ona nie z nami, nie! To nie dla niej miejsce. Taka biała! taka czuła! Nie, nie! (Zamyśla się, głowa mu opada na piersi. Po chwili, przebudzony ruchem Lapiego. Z prze-

strachem się odwraca). A, to ty! Prawda, ty też z nami, stary. Prawda, bez ciebie byłoby mi może tam też jak bez rąk. No, s adajże, siadaj! (Wskazuje miejsce po drugiej stronie stołu). Zagadałem się z chłopakiem swoim kochanym. (Wyjmując flakonik z zanadrza). Ale pójdź-no jeszcze, stary! tam w pokoju sąsiednim dzbany z winem .. przynieś! (Lapi przynosi na tacy dzbany dwa i kubki. Do jednego ze dzbanów książkę wlewa płyn z flakonika). Naprzód ten. (Wskazuje nie zatruty. Do Lapięgo). Wypijmy za dobrą i prędką naszą podróż! (Pije). Wypilibyśmy twoje zdrowie, Bianco moja miła, wypilibyśmy, choć mię nienawidzisz, ale co ci po niem? Za twoją śmierć spokojną! (Pije) Pijże, stary! Hej, stary, co za toast? Czyśmy myśleli?.. (Nalewa wino) Ach, Bianco, Bianco! (Do syna po chwili) Gniewasz się? (Zrywa się z krzykiem) I ty musisz go spełnić (Wylewa wino na portret. Do Lapięgo). Nieprawdaż stary? Cóżby to było, gdyby nawet syn mnie nie słuchał? Przed tobą wstydyby mi było. (Chce lać wino w kubki). Pusty! już pusty! (Chwyta za drugi dzban) A więc na ciebie kolej! (Leje) Przed tobą, chłopcze, niema co grać komedyi. Ciebie nie oszukać, ty wiesz, widzisz. Ty na lewo, — ona na prawo, i gdybym mógł wybierać... Sam nie wiem... Tylko ona odpycha mnie tu... Kłamie: boi się — i tamby też... Zresztą myśmy warci siebie, a ona inna. Właściwie ty mój, a ona matczy-na. Niech idzie do matki: co mnie do niej? No, sta-

ry, (podnosząc kubek) bywaj!.. O mało mi się głupstwo nie wyrwało. (Od miasta słychać zgiełk. Książę stawia kubek, otwiera okno: dolatują krzyki: „Precz z tyranem! Niech żyje książę Carlo!“) Słyszysz? Ale co tu długo gadać. (Stuka się kubkiem z Lapiem) Za... za... Alboż ja wiem za co? Co mnie teraz obchodzi? (Do portretu) Pić za twoje zbawienie? Obrazisz się za kpiny. Tam takie sądy, że ci pewno tego żebraka na karaty porachowali. Czy jego jednego? Już to lubiłeś się pobawić i dziewczyną, i kubkiem, i szpadą. A za nią? Ona i bezemnie będzie zbawiona: też byłyby kpiny. (Znowu dolatują od miasta krzyki) Musi być niedaleko, kiedy tak wrzeszczy to bydło! Czego pragnę? Jakież toast wart tego nektaru. Niech żyje Carlo, książę Moleny! (Pije) Cha, cha, cha! Pijże, stary, głupi stary! I niech mu ten toast tak dobrze poskutkuje, jak nam. (Lapi pije). Widzisz, pijany trochę jestem. Ale — ni:prawdaż? — wcale niezły smak. Nie przypuszczałem, ci zaś, których częstowałem, nie chwalili nigdy. Dla pewności — jeszcze po kubku! W ręce twoje, książę! (Na stronę) Do widzenia się, Bianco moja!... Pijany! Co ja gadam. (Szepce, z rozpaczą) My się nie zobaczymy. Nie, nie! O nie! (Pada na krzesło, kładzie ręce na stół, na nich głowę).

Scena 6.

Sypialnia księżniczki. Ciało Bianki na łożu: kotary rozsunięte.

CARRARO (wbiega, nie widząc Rosellego).

To ja, Bianco! to ja, twój Giovanni! To ja! Obudź się, Bianco! Przecież to niepodobieństwo! tyś nie umarła. Tak wierzyłaś, tak kochałaś... Gdzież byłaby ta Opatrzność? Bóg!... Zwierz dziki ulitowałby się... Gdzież byłaby miłość i dobroć niebieska? Szatan zasłaby jest i zadobry na taką zemstę. Bianco, Bianco, obudź się! Spójrz na mnie! przemów! Nie bądź taka cicha! Bianco! Ty coś wiesz!... Cemu tak patrzysz na mnie temi oczyma posągu? Bianco! (Coraz głośniej) Bianco! Bianco! (Z krzykiem) Aaa!

ROSELLI (mocnym głosem).

Czemże jest życie, o Panie, jeśli nie zgiełkiem nieszczęść? Czemże ziemia, jeśli nie polem zaguby? Nie cyrk-że to, pełny katów i ofiar? Szczęśliwy, kto—czysty i prawy — przechodzi choćby z podium władców świata przez arenę męczeństwa. Mamże kląć chwilę, w której śnieżysty ptak niebiański, wydobywszy się z ciasnej powłoki, swobodnie rozwinął skrzydła, nie obciążone błotem padolu? Mamże się miotać, że Ty, Bóg o oczach dobrotliwych, bierzesz

w dłonie wszechkojące najczystsą z dusz, drżącą jeszcze z przerażeń i wstrętów ziemskich, niby gołąbkę białą, wyrwana ze szponów jastrzębich.

CARRARO (opuszcza rękę i słucha, jakby w obłędzie).

Gołąbkę białą!...

ROSELLI.

Mamże bluźnić, że Ty, Bóg słodki, spojrzeniem swem napawasz ją wiecznością błogości i mocy? Mamże wołać: wyrwij się, o moja! z uścisku radości nad radościami, rzuć szatę promienistą, wróć do ciała, bym je pokalał dłońmi krwawemi. Mamże wznieść głos: zedrzyj, o Panie, z ramion jej skrzydła miłości swojej! strąć znowu w otchłań nędz i brudów najmilszego z aniołów swych, któremu jako zadatek szczęścia wiekuistego dałeś łaskę swoją dla mnie! Przyćmij pyłem ziemskim tę duszę, której blask, skroś mgłę marzeń mych mętnych, skroś szaleń i złudzenia wieść mnie ma, jako gwiazda północna wiedzie zbłąkanego w pustyni ku słodkiej ojczyźnie. Panie, mamże kląć? Panie, o panie! mamże bluźnić?

CARRARO.

Ktoś ty?

ROSELLI.

Głos duszy twojej. (Po chwili). Iżem odszedłszy

strwonił skarb jego, — mam rzec: „otom obciążon, gdzie zaś ojciec?“ A oto ten czeka syna, a ujrawszy go w pokorze jego i skrusze, uraduje się radością wielką i nie zapyta nawet: „cóżeś uczynił ze skarbem moim?“ Powrót do Ciebie trudny. Na każdym łanie, w każdym lesie, po wszystkich rogach ulic, jak złoczyńcy czyhają na mnie namiętności moje: już nic, prócz pamięci na Ciebie do zrabowania nie zostało. I pali mnie słońce, a wichry mrożą. I usta pragnieniami spalone, wewnętrzności głodami stargane, serce stoczone robactwem tęsknot i strachów, i niepokojów. Jestem utrudzony. Powieki, jak gwichty żelazne, w dół ciężą, ręce zwisają, nogi się gną, głowa chyli, lecz idę do Ojca! W duszy mej, jak na Twojej ziemi, wieczna burza,—ale Ty uspokoisz mnie. (Carraro ze łkaniem pada na kolana przed Bianką).

Scena 7.

Apartament na zamku.

Di Massa rzuca się na przechodzącego Carrara. Dowmunt wydziera mu sztylet.

CARRARO (do hr. di Massa).

Ty?!... (Do Dowmunta) Puść go! (Znowu do hr. di Massa) Za co?

DI MASSA.

Już się ciebie nie boję, więc słów nie poskąpię, jak truciznybym ci nie poskąpił. Myślałem, że przez ciebie pomszczę się i stanę u szczytu. Myślałem, że ty pewny siebie, jak szatan, a taki lekko-myślny, że mógłbyś się nawet wspaniałomyślnym wydać, dasz mi ją naprawdę. Podły! Zmyślając imię przed nieszczęsną, mnie też kłamałeś. Zabiłeś ją... Wiedziałem, że cię (wskazując Dowmunta) złe duchy strzegą. Choćbym sztylet oparł na samem sercu twojem, jeszczeby mi coś przeszkodziło. Bądź przeklęty!...

CARRARO.

Nie wiedziałem, żem ją właśnie kochał. Nie chciałem jej zabić. (Chwilę stoi z głową opuszczoną, potem wychodzi).

(Zastona).

Scena 8.

Sala tronowa. Carraro stoi.

CASTINIANI (na czele deputacyi. Do Carrara).

Wasza wysokość! Szlachta Moleny, duchowieństwo i lud cały przez usta moje dzięki korne u stóp waszych składają za wybawienie z jarzma, które, ja-

ko zmora piersi seune, gnębiło kraj ten przez lat sto. Stary gród wasz przywdział był szatę godową i rozbrzmiał krzykiem zachwytu, widząc, że ród Carrarów, jako ojciec do sierocy tak długo i stęsknionej dziatwy, wraca nareszcie do tronu, który się tak szczyił wielkimi przodkami waszej wysokości. I Molena, ran swych niepomna, była najszcześniejszym krajem ziemi, a najszcześniejszy lud świata tłoczył się radośnie dokoła tego zamku w nadziei ujrzenia na balkonie postaci ubóstwionej bohatera swego, pana i ojca. I my, wysłańcy narodu, szliśmy do ciebie trzy dni temu z sercem wesołem. Czyż istotnie to krótkie szczęście nadziei zmienić się ma w wieczną rozpacz rzeczywistości? Miałażby wasza wysokość po najwyższem dobrodziejstwie obciążyć państwo swoje karą najstraszliwszą? Pragnąłżebyś, panie, za cześć i miłość bez granic dać ludowi swemu puszkę Pandory—walkę rodów o czapkę książęcą, którą ze wzgardą odrzucasz, jak łachman wstrętny. Lekkiemże uczyni serce waszej wysokości na dalekiej obczyźnie wieść, iż Molena, trawiona rozterkami domowemi, wpadła w ręce obce, z pani — niewolnica? Zostawiszże ją, panie, bez pana i obrońcy?

CARRARO.

Jam żołnierz Boży.

CASTINIANI.

Kraj cały rozpacza rozpaczą niepojętą waszej

wysokości. Czuje on, że przysięgi Bogu złożonej nie w duszy waszej wysokość złamać nie zdoła. Ów Polak bohaterski i brat Paolo za upewnienie nas o tem staliby się najnienawistniejszymi ludźmi pod słońcem, gdybyśmy nie musieli błogosławić ich za wierność i miłość dla waszej wysokość. Wiemy, pójdziesz, o panie nasz, walczyć za Chrystusa, ale ręka Boża da ci tam też tryumf tylko i sławę. Poczóż więc skazywać Molenę na wieczne wygnanie od twojej osoby? Daj jej stróża czasowego, a pozwól czekać powrotu twego, jako wierna narzeczona czeka kochanka.

CARRARO. (Twarz wykrzywia mu wyraz bólu.
Opanowawszy się).

Jeżeli wrócę, prędzej Leggio zobaczy nowego mnicha, niż Molena księcia. Tylem zawinił względem tego kraju. Nie chcę krzywdy jego. Żądacie bym wskazał człowieka? Di Massa. (Mówi zcicha do stojącego za nim oficera, który wnet wychodzi).

CASTINIANI (zachnąwszy się).

O, wasza wysokość! Jakże boleśnie rani wierne serca nasze strzała zatruta tego żartu. Boć wiem kto przejął list, w którym ten ...hrabia donosił jego wysokość... uzurpatorowi, kim jest wasza wysokość. Sługa, który widział przed kwadranssem, jak druh wasz wydarł nóż skrytobójczy z ręki tego podwójnego zdrajcy. .

CARRARO.

Możnaż wziąć uścisk przyjaciela za zamach?

CASTINIANI.

Molena jest twoja, o panie: komu dasz—będzie ją miał, ale... ale... któż mniej godzien? .

DI MASSA (wchodzi).

A więc; obywatele Moleny, wola władcy wyznacza wam nawet rolę sędziów w komedyi...

CARRARO (przerywając mu, silnym głosem).

Guido! Powiedziano tym panom, żeś się targnął przed chwilą na moje życie, którego bym nikomu z większą radością nie powierzył, niż tobie. (Dobry sztylet, do Castinianiego). Nieprawdaż, hrabio, to ostrze na samem sercu opieram?

GŁOSY.

Co chcesz czynić, panie?

CARRARO (do hr. di Massa).

Weź głównię, Guido, tylko mocno. (Do Dowmunta, który się zbliżył). Odejdź, bracie, bo znów powiedzą, tylko ty mnie ocalił. (Sztylet pada z brzękiem. Do wszystkich). I to ma być człowiek, co śmierci mojej pragnie!

(Do hr. di Massa). Ach, Guido, Guido! Czemużeś ty nie okazał się podlejszym, lub ja szczęśliwszym? Gdybyś wiedział, co się w tem sercu dzieje—przez litość samą... (Do zebranych). Oto brat mój i przyjaciel. Wołaj więc, kto mnie kocha: „niech żyje Guido, książę Moleny!“ (Cisza). Niktże mnie tu nie kocha?

GŁOSY (słabe).

Niech żyje Guido, książę Moleny!

DI MASSA (jednocześnie, ze zdumieniem przerażonym).

Co to znaczy?!

CARRARO (podnosząc lewą rękę).

Odemnie pierwszego raczy przyjąć wasza wysokość hołd wierności poddańczej: na imię Zbawiciela przysięgam, że wrogi sprawiedliwości waszej moimi wrogami będą.

WSZYSCY (prócz Carrara i Dowmunta klękają.
W gwarze słychać wyrazy).

Przysięgam... walczyć... służyć waszej wysokości... wiernie.. do ostatniego tchnienia... do ostatniej kropli krwi.

DI MASSA (z wysiłkiem).

· Racście się podnieść, panowie. (Wszyscy się podnoszą). Jestem tak wzruszony, że brak mi słów...

CASTINIANI.

Wasza wysokość! Kraj cały sercem radosnem powita wstąpienie na tron najgodniejszego z obywateli, świętego rycerza i genialnego polityka. W imieniu wszystkich stanów u stóp twoich składamy wraz z przysięgą i wierne serca narodu, i łany bogate Moleny. Nareszcie odetchną wszystkie piersi, i w całym państwie twojem nie znajdzie się nikt, komu z ust nie wyrwie się okrzyk: oto mamy pana, którego lud przywykł kochać, szlachta czcić i magnaci szanować. Któż nie uczuje, że wielkie szczęście go spotkało? Zdwoi się wdzięczność narodu dla dostojnego kuzyna waszej wysokości za to wyrwanie ze wszystkich ust i serc sławnego imienia waszej wysokości. Gdzież jest człowiek na łonie państw twoich, który by nie złożył w ręce twoje, o panie, czci i wolności Moleny, gdyby los uczynił go szafarzem tych skarbów, który dziś u stóp waszej wysokości należącej doń cząstki ich nie złoży z dumą i zachwytem, że takiemu panu ma służyć?!

DI MASSA.

Dziękuję wspaniałomyślnemu kuzynowi memu, szlachcie, duchowieństwu i ludowi za koronę, której

tak nie czuję się godnym, jakom jej nie pożądał. Woła Carla Carrara i ludu Moleny jest dla mnie świętą. Postaram się spełnić pokładane we mnie nadzieje.

CARRARO.

Pozostaje mi więc tylko pożegnać was, panowie. Jutro opuszczam Molenę—może nazawsze.

LESCHI.

Z rozdartem sercem żegnamy waszą... dostojność życzeniami szczęścia i spokoju.

CARRARO (z wybuchem).

A więc śmierci! śmierci!... (Opanowując się do hr. Di Massa). Źle zacznę służbę swoją waszej wysokości, bo od prośby. Wypowiem ją wobec przedstawicieli kraju całego, by nie zostawić za sobą żadnych nieporozumień. Z dóbr swoich, które stały się jednym z powodów tego... wszystkiego, korzystać nie chcę. Wsie w hrabstwie Leggio daruję klasztorowi; grunta podmiejskie niech będą rozdane między biednych Moleny, którym matką była zmarła. Majątki pozostałe—sprzedać, sum zaś otrzymanych część czwarta opłaci wieczne nabożeństwa w kościołach miasta za dusze zgasłego księcia i jego syna. Władza waszej wysokości mogłaby nakazać modły, ale darmo księża źle i nieskutecznieby się modlili. Za resztę...

Ojciec Paolo przyjmie na siebie kierownictwo... Za całą resztę rozkaże wasza wysokość (głos mu się łąmie) wzniesć grobowiec Biance z Moleny: nad zwłokami w najbielszym marmurze wykutemi, stanie Chrystus, trzymający w dłoniach gołąbkę.

Kurtyna z wolna opada.

K O N I E C .







